PRZEGLĄD HOMILETYCZNY

KWARTALNIK

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KAZNODZIEJSTWA POLSKIEGO

ROCZNIK XVII. 1939. ZESZYT 2.

PRACA DUSZPASTERZA NAD ROZBUDZANIEM WIARY.

Ks. dr Juljan Piskorz, Tarnów.

Należy pamiętać, że *fidem non esse coecum sensum e latebris subconscientiae erumpentem, sub pressione cordis et inflexionis voluntatis moraliter informatae, sed verum assensum intellectus veritati extrinsecus acceptae ex auditu. (Professio fidei).* Jest więc akt wiary w swem ostatecznem sformułowaniu aktem rozumu, dla którego argumentem wyłącznym jest Boża powaga. Wymienione więc w dalszym ciągu czynniki kompozycyjne wiary nie należą do jej istoty, jako formalnego aktu, są jednak składnikami tego *habitus* wiary, do którego człowiek przez różne czynniki psychiczne dochodzi.

Wiadomą jest bowiem rzeczą, że jeżeli chodzi o przekonania, to człowiek ma je takie, jakie chce mieć, a nie takie, jakie mieć powinien, za jakiemi przemawiają nawet najjaśniejsze pod słońcem argumenty. Istnieją tylko niektóre prawdy, tak bezpośrednio oczywiste, że rozum jest wprost zmuszony do ich przyjęcia i choćby chciał, nie może im zaprzeczyć. A prawdy wiary wcale nie należą do bezpośrednio oczywistych, jak ta, że $2 + 2 = 4$.

Rzeczy i fakty, których doświadczamy zmysłami, należą również do tych prawd, którym rozum w zasadzie przeczyć nie może. Ani prawdy wiary, ani fakt ich objawienia nie należą do rzeczy dla rozumu oczywistych. Stąd pochodzi wielka komplikacja psychiki wiary, do której wyłącznie rozumowe argumenty nie zawsze mogą człowieka doprowadzić, nie mogą umysłu do wiary zmusić, jeśli z jakichkolwiek powodów człowiek wierzyć nie chce, lub jeśli przez inne, pozarozumowe czynniki psychiczne, do tej wiary nie jest „dysponowany".

Jak dalece wiara nie jest zależna wyłącznie od rozumowych argumentów, stwierdza to sam Chrystus Pan, kiedy w przypowieści o bogaczu i Łazarzu każe Abrahamowi dobitnie stwierdzić, że nawet tak niebywałe cuda, jak pokazanie się umarłych, nie potrafią nawrócić tych, którzy wierzyć nie chcą.

Są więc następujące czynniki psychiczne, wchodzące w skład tej habitualnej wiary, oraz przygotowanie do niej duszy, na mocy którego człowiek wykonuje akt wiary:

a) Natura ludzka. W naturę ludzką wlał P. Bóg pewną skłonność do wiary, tęsknotę za wiarą, dążność do wiary. Myśl tę wyraża bardzo dobitnie przyjęty już od Tertuljana aksjomat: *anima naturaliter christiana*. A jeśli na mocy tej zasady natura ludzka została ręką Stwórcy dysponowana do pojedyńczych prawd objawionej chrześcijańskiej religji, to *a fortiori* należy stwierdzić ogólną dyspozycję natury do wiary na którą muszą się złożyć zsumowane pojedyńcze dyspozycje.

Ta, wynikająca z ludzkiej natury, skłonność do wiary, może mieć przeróżne stopnie natężenia — w wyniku (niezbadanych naukowo) przyczyn psychologicznych i konstytucyjnych organizmu. Jedni rodzili się z predyspozycją świętości, a więc i potężnej wiary, inni mają z natury mniej korzystne dla wiary dyspozycje, inni wreszcie posiadają je bardzo nikłe, dlatego wiara przychodzi im bardzo trudno, dlatego czasem nie wierzą, a wreszcie, mogą zajść i takie okoliczności, iż może to nawet nie być ich winą, że wierzyć nie mogą. Ale to są nie tylko wyjątki, ale i psychiczne anomalje, które należą do dziedziny psychoz.

Na ten składowy czynnik psychiki wiary nie może mieć duszpasterz żadnego wpływu, z wyjątkiem może tego, jaki ma na matki przed urodzeniem dzieci. Stany bowiem psychiczne matek w tym okresie w dziwny, a tajemniczy sposób wpływają na psychiczne właściwości mających przyjść na świat dzieci. Będzie więc duszpasterz usilnie upominał matki, aby w tym okresie szczególnie pobożne prowadziły życie.

b) Dziedziczność. Sam fakt istnienia pewnych rodzin, które wydawały świętych (rodzina Odrowążów w Polsce), jest dowodem dziedziczenia pewnych psychicznych cech wogóle i dyspozycyj religijnych w szczególności. (Ponieważ wiara jest związkiem — *religio* — człowieka z Bogiem w dziedzinie rozumu, a jest zarazem źródłem i korzeniem religijności, można słusznie stosować do wiary to, co się odnosi do szerszego w swym zakresie pojęcia religijności).

Można więc dziedziczyć zarówno skłonności wierze sprzyjające, jak i skłonności, które są psychicznym oporem w stosunku do wiary. Należy jednak wziąć pod uwagę i tę okoliczność, że dziedziczność i w sferze psychicznej jest fenomenem,

w którym ujawniają się często przeskoki, mijające pokolenia. Nie tylko w życiu syna objawiają się czasem bardzo wyraźne skłonności ojca, ale i we wnuku i prawnuku ujawniają się czasem nieoczekiwanie rysy charakterystyczne dziada lub pradziada.

I na ten składnik psychiczny wiary nie ma duszpasterz żadnego wpływu. Znajomość jednak tego czynnika ułatwi duszpasterzowi niejednokrotnie orjentację w zawiłych nieraz zagadnieniach psychiki indywidualnej. Kartoteka parafjalna (*status animarum*) winna zawierać dane, dotyczące wiary i religijności rodzin, a dane te wyjaśnią duszpasterzowi niejedną zagadkę, pozwolą rozwiązać niejedną wątpliwość w ocenie jednostki. Do takiej oceny zmuszają duszpasterza niejednokrotnie warunki, zwłaszcza jeżeli chodzi o wybór przewódców w działalności religijnej.

Na podstawie znajomości religijnej psychiki rodziny, będzie się duszpasterz z o wiele większą ostrożnością i wątpliwością odnosił np. do kwestji powołania kapłańskiego czy zakonnego u członka rodziny niereligijnej, niż u takiego, który pochodzi z rodziny, ujawniającej przez pokolenia głęboką wiarę.

Opierając się na prawie dziedziczności i obserwując dzieje ustosunkowania się rodzin do wiary i religji, zauważy np. duszpasterz powtarzające się u członków jednej rodziny fazy — i wprost jakby sprzeczne ustosunkowanie się do wiary w różnych okresach życia: głęboka wiara — zanik religijności przez parę lat — później znów powrót do żywej wiary. To pozwoli duszpasterzowi naprzód przewidzieć okres niebezpieczny, uprzedzić go i zabezpieczyć przed nim dusze przez środki zaradcze.

c) Instynkt samozachowawczy. Ogromną usługę oddaje wierze instynkt samozachowawczy, instynkt bytu i jego ochrony, przez wywołanie przychylnej psychicznej dyspozycji do przyjęcia tej wiary. Wyrazem tego instynktu jest bojaźń przed wszystkiem, co człowiekowi zagraża nieszczęściem. Tę właśnie bojaźń określa Pismo św. jako *initium sapientiae — timor Domini*. A *initium sapientiae* to nie co innego, jeno wejście na drogę wiary. *Kto wierzy... zbawion będzie, kto nie wierzy, będzie potępiony.* Straszliwa groza i bojaźń potępienia wiecznego pobudza człowieka, przez instynkt bytu, do gorliwego przyjęcia wiary i do przejęcia się wiarą do głębi duszy. I tak Boża bojaźń staje się początkiem mądrości.

Uderzy duszpasterza godny zastanowienia fakt, że bardzo często stopień religijności odpowiada stopniowi wrodzonej bojaźliwości. Będzie to częściowem wytłumaczeniem faktu, że nasi najwierniejsi parafjanie, którzy na wezwanie duszpasterza znajdą się we wszystkich organizacjach religijnych, odznaczają się potulnością, lękliwością, bojaźliwością, biernością, że tak mało u nich cywilnej odwagi, przedsiębiorczości, energji i bojowego ducha w dziedzinie wiary. Nic dziwnego, że po stronie wrogów Kościoła widzimy często ludzi zaciętych, bojowych, lekceważących niebezpieczeństwa, odważnych i przedsiębiorczych; są to bowiem ludzie mało bojaźliwi z natury. I ten brak poczucia bojaźni był często jedną z przyczyn, że brak im początków Bożej mądrości — wiary.

W pracy nad budzeniem wiary wykorzysta duszpasterz ten potężny wspomniany instynkt i dostosuje się do wskazówki Mistrza: *Nie bójcie się ludzi, ale bójcie się Boga, który... duszę może skazać na wieczne potępienie.* Aby dusze, zwłaszcza oporne, skłonić do wiary, będzie się duszpasterz często posługiwał motywami, budzącemi w duszach parafjan ową zbawienną bojaźń Bożą, skłaniającą ku wierze nawet zbuntowany umysł i zbuntowaną wolę. Tematy *de novissimis* nie powinny być rezerwowane wyłącznie dla misjonarzy — i musi je często poruszać i duszpasterz, i to nie tylko *obiter* i w paru słowach, ale głębiej i szerzej, bo tylko wtedy spełnią swe wychowawcze zadanie w dziedzinie budzenia wiary, przez zbawienną bojaźń.

Okazuje się z tego, że potężnie, w tym zwłaszcza punkcie, działające misje posłużą nie tylko do poprawy moralności parafjan, ale i do obudzenia zachwianej czy osłabłej wiary, choćby nie poruszyły wcale tematów apologetycznych, co jest zresztą na misjach rzeczą zbyteczną.

d) Fantazja. *Omnis cognitio incipit a sensu.* I do rozumowego poznania i uznania prawdy prowadzi najłatwiejsza droga przez (o ile możności) poglądowe i działające na fantazję jej przedstawienie. Nie wywołałaby Ewangelja tyle entuzjazmu w świecie, nie byłaby pociągnęła serc do wiary i umiłowania Chrystusa, gdyby była spisana w formie dogmatycznego podręcznika lub katechizmu. Podzieliłaby wtedy los głębokich rozpraw filozoficznych, które biorą do ręki tylko niektórzy uczeni.

Fantazja odgrywa i w psychice religijnej ogromnie ważną rolę. Wprowadza moment zaciekawienia, zainteresowania,

a w rezultacie umiłowanie religijnej prawdy, jeśli ona jest podana w szacie wpływającej i na fantazję, a więc barwnie, poglądowo i żywo. Ten sposób przedstawienia treści Bożego objawienia budzi żywą wiarę w duszach, podczas gdy duszpasterz, przemawiający sucho i abstrakcyjnie, stałby się przyczyną osłabienia i zobojętnienia wielu parafjan w stosunku do wiary.

Niemałe znaczenie w oddziaływaniu bezpośrednio na zmysły, a pośrednio na fantazję, a przez nią znów pośrednio na wiarę, ma piękno sztuki, stosowanej w liturgji i ozdobie Bożego domu. Lud polski jest z natury poetyczny i wrażliwy na piękno sztuki, która myśl jego podnosi do Boga i wiarę mu opromienia i upiększa.

Duszpasterz będzie przekonany, że piękno sztuki, zastosowanej do celów religijnych, przyczynia się również do budzenia wiary w duszach parafjan.

e) Uczucie. Potężny wpływ uczucia na budzenie się wiary wyraża pięknie Bougaud[1]) temi słowy: „Jeżeli chcesz trafić do tej świątyni (wiary), pozostaw rozum, weź z sobą tylko serce. Pozostaw genjusz i naukę, weź z sobą tylko miłość... Kropla miłości w sercu wytwarza więcej światła, aniżeli przeczytanie setek tomów... Miłość... otacza przedmiot ukochany jasnością, przy której wszystko blednie. A rozpraszając mroki i cienie, miłość przenika zarazem tajemnice, przeczuwa je, odgaduje".

Jedno tylko uczucie posiada dziwny przywilej intuicji, która dochodzi do poznania i uznania prawdy, przy pomocy tego wewnętrznego światła, jakie rozpala uczucie — drogą krótką, łatwą, pewną i jasną, podczas gdy rozum dochodzi do celu długą drogą mozolnych i trudnych badań i wnioskowań.

Nawet dogmatyka, która tak mało zajmuje się psychologją, podkreśla niemal decydującą rolę uczucia w budzeniu się wiary, kiedy wspomina, o uprzedzającym wiarę: *pius credulitatis affectus*. Nie można bowiem nie zauważyć bijącego faktu, że o naszych wartościujących sądach decyduje stosunek uczuciowy do osoby czy faktu.

A więc duszpasterz i w sprawach religijności parafjan wogóle, i w sprawach ich wiary, nie będzie lekceważył uczucia, powtarzając błędne mniemanie, jakoby uczucie było t. zw. „babską" rzeczą. Czytając religijne rozprawy niemieckie, nie

---

[1]) „Wiara i niewiara", str. 288.

ulegnie polski duszpasterz lekceważącemu uczuciu, zimno-rozumowemu, do racjonalizmu skłonnemu duchowi germańskiemu.

I w nauce szkolnej i w kazaniu będzie pamiętał o ważności momentu uczuciowego w budzeniu wiary.

Będzie też dbał o religijny i uczuciowy nastrój nabożeństw parafjalnych, obudzone bowiem na nich uczucie religijne budzi i wzmacnia wiarę. Wszak wiemy dobrze z zeznań konwertytów, jak często to właśnie zbudzone uczucie religijne w czasie nabożeństwa otwarło duszy drogę do odnalezienia prawdziwej wiary.

W stosunku zaś do tych, których mu przyjdzie nawrócić na drogę wiary, zastosuje wymieniony dogmatyczny aksjomat, budząc w nich — przy pomocy łaski — owo uczucie: *pius credulitatis affectus*, skłaniając ich do modlitwy serdecznej, jeszcze przed przyjęciem wiary. Wygląda to na paradoks logiczny, aby obudzić w sobie uczucie pobożności i miłości do Boga, zanim się w Niego uwierzy. A jednak wspomniana zasada dogmatyczna taki paradoks poleca. Zresztą jest to tylko logiczny paradoks, posiadający głęboką rację psychologiczną. Oto, ażeby przyjąć wiarę, trzeba, by sercu naszemu na niej zależało; ażeby przystąpić do Boga, trzeba tego Boga pragnąć i kochać, choćby jako możliwość, na początku drogi do Niego. Komu na Bogu i na wierze nic nie zależy, kto nie zaczyna boleć nad swą niewiarą, ten do wiary żadną miarą dojść nie może.

f) W o l a. Gdyby wola nie była decydującym czynnikiem w przyjęciu prawd wiary, wiara nie byłaby zasługą, niewiara nie byłaby winą. W znanych zaś słowach zapowiedział Chrystus Pan wierze nagrodę zbawienia, niewierze — karę potępienia. Ponieważ treść objektywnej wiary, czyli objawienie, zawiera niezgłębione dla rozumu tajemnice, ponieważ prawdy wiary nie są bezpośrednio oczywiste, a fakt objawienia — jako jeden z motywów *credibilitatis* — nie jest ani bezpośrednio oczywisty, ani zbadany przez ludzi (za wyjątkiem tych, którzy objawienie otrzymali) doświadczeniem, przeto — jeżeli wola nie zechce wierzyć — żadna siła, żadne, by najjaśniejsze pod słońcem argumenty, nie mogą zmusić rozumu do wierzenia.

W trosce o wiarę parafjan będzie duszpasterz zawsze pamiętał o tym ważnym momencie woli w budzeniu ich wiary. Będzie często u parafjan obudzał dobrą wolę do tej wiary, przez przypominanie jej obowiązku, będzie (powtóre) tę wolę wiary ćwiczył, przez powtarzanie z ludem aktów wiary, na-

dziei i miłości. A wreszcie (po trzecie) będzie duszpasterz zachęcał parafjan do uważnego, połączonego z wewnętrznem przejęciem i zrozumieniem, powtarzania wyznania wiary *(Credo)*.

g) Rozum. Ponieważ inne działy nauki teologji dostatecznie omawiają kwestję stosunku rozumu do wiary, która jest w swej istocie formalnym aktem rozumu, dlatego jest rzeczą zbyteczną powtarzać rzeczy skądinąd znane. W podręcznikach homiletycznych jest też dostatecznie omawiana kwestja wyjaśniania, udowodniania i przedstawiania prawd wiary. Obowiązki więc w kwestji budzenia wiary — odnośnie do rozumu jako czynnika składowego psychiki wiary — są również duszpasterzowi znane.

h) Pamięć. Pamięć, jako zdolność przechowania i odtwarzania wiadomości w dziedzinie wiary, odgrywa tu o tyle ważną rolę, że jeżeli treść wiary wyjdzie powoli z pamięci, to wiara zostanie pustą formą, nie mogącą oddziaływać na życie. Wiara bez treści staje się wreszcie duszy rzeczą obojętną, a człowiekowi grozi z powodu tego nawet utratą wiary.

Duszpasterz czuwa nad tem, by treść wiary nie znikła z pamięci parafjan, to też nie zdaje się na wybór tematu kazań z przypadkowego natchnienia, ale na pewne okresy czasu układa planowo wyjaśnienie wszystkich prawd wiary, co jest zresztą przez wszystkie synody diecezjalne nakazane.

i) Łaska. Do składowych czynników psychiki wiary należy wreszcie zaliczyć łaskę uczynkową, która w stosunku do wiary spełnia dwie funkcje: podnosi wiarę, z wszystkiemi towarzyszącemi jej aktami, w sferę nadprzyrodzoną, oraz wiarę tę i psychiczną drogę do niej człowiekowi ułatwia. Wpływa więc łaska i na uczucie i na wolę, dysponując przez nie psychikę do przyjęcia wiary. Wpływa wreszcie i na rozum, a pod wpływem jej światła człowiek łatwiej pojmuje prawdy wiary, ich uzasadnienie i motywy.

Pamiętając o tem, będzie duszpasterz zachęcał wiernych do modlitwy o cnotę wiary, będzie się sam modlił o oświecenie Boże wiernych, by wiara ich przez działanie łaski stała się jasną, żywą i serdeczną. Będzie zachęcał do modlitwy o łaskę wiary dla tych, którzy przed nim boleją i skarżą się na utratę wiary swoich najbliższych, temu zaś, kto wiarę utracił, wskaże modlitwę, jako pierwszy krok wiodący do odzyskania tego skarbu duszy.

UDZIAŁ WIERNYCH WE MSZY ŚW.

Ks. dr. Adolf Tymczak, Przemyśl.

Chrześcijanie, nawet pobożni, zwłaszcza nie wtajemniczeni w świętą liturgję, mało rozumieją ofiarę mszy św. Msza św. jest dla nich tylko spełnieniem przykazania; wypełniają ją modlitwami pobożnemi, a nie znają jej przebiegu ani ducha. Każdy odprawia swoją mszę dla siebie, a nie mszę odprawianą na ołtarzu przez kapłana. Przyczyną tego jest opieszałość religijna, która chce jak najprędzej załatwić służbę Bożą, oraz partykularyzm, dążący do osobnych nabożeństw dla poszczególnych stanów. Bo też sami kapłani nieraz pojmują mszę jako osobistą, subjektywną pobożność, a za mało jako objektywne dzieło odkupienia, jako ofiarę Kościoła, ofiarę całej parafji. Stąd bardzo ważną jest rzeczą głębsze poznanie i zrozumienie najśw. ofiary i rzeczywisty w niej udział.

Papież Pius X czynny udział we mszy św. nazywa najważniejszem źródłem pobożności chrześcijańskiej. Prywatnie się wypowiedział, żeby wierni podczas mszy św. nie odmawiali modlitw mszalnych, ale odmawiali mszę. Pius XI gani chrześcijan, którzy są na mszy św. jako niemi słuchacze. Dzisiejszy ruch liturgiczny szerzy po całym świecie hasło czynnego udziału we mszy św. Modlitwy liturgiczne mają tę zaletę, że obejmują całą społeczność chrześcijańską, przeto nas wyprowadzają z ciasnych ram osobistych spraw, nieraz wyłącznie doczesnych, a wznoszą na wyższy poziom, z którego obejmujemy potrzeby ogólne całego Kościoła. Nie trzeba uważać mszy za czynność wyłączną kapłana, ale jako wspólną akcję całej parafji, udział parafjan nie jest przeszkadzaniem księdzu w odprawianiu mszy św., ale jest prawem wiernych, a wdrożenie ich do tego udziału należy do obowiązków duszpasterza. Dzięki mszy św. cała parafja staje w żywej łączności z Kościołem powszechnym i uczestniczy w dobru ogólnem całego Kościoła. Im więcej członków bierze ten udział, im głębiej wnikają oni w charakter ofiarny mszy św., tem więcej korzystają z łask Chry-

stusowych, tem więcej są parafją katolicką. Uczestniczą w zadaniach i troskach, ale także w radościach całego Kościoła. O tem winien duszpasterz pouczać wiernych, aby się czuli cząstką Kościoła.

Z tego punktu widzenia pierwszą troską duszpasterza będzie coraz większe pielęgnowanie współuczestnictwa parafjan w ofierze mszy św. wogóle, a szczególnie w ofierze niedzielnej i świątecznej. Udział we mszy św. charakteryzuje chrześcijanina: „Powiedz mi, jak się zachowujesz na mszy św., a ja ci powiem, kim jesteś“ (R. Mäder); podobnie można rzec, iż pracę duszpasterza można poznać ze sposobu zachowania wiernych na mszy św.

Aby wiernych wdrożyć do uczestnictwa we mszy św., duszpasterz winien przedewszystkiem wyjaśnić wiernym z ambony poszczególne części mszy. Do tego celu nie ma się posługiwać środkami przygodnemi, jak hałaśliwą orkiestrą czy świeckiemi chórami, na sposób teatralny, które odwracają uwagę parafjan od akcji liturgicznej, ale raczej kierować ich uwagę na święte tajemnice i wprowadzać w ich ducha. Ks. Olier w 17. w. tak przedziwnie i w krótkim czasie zreformował swą parafję św. Sulpicjusza, że z najgorszej parafji paryskiej stała się najbardziej religijną; owoc jego pracy trwa aż do dnia dzisiejszego. A przecież w swej pracy posługiwał się tym właśnie środkiem: napisał dla parafjan wykład ceremonij mszalnych. Podobnie winien postępować nowoczesny duszpasterz. Wielu bowiem parafjan nie zna dokładnie tego, co się dzieje na ołtarzu, a śpiewów chórowych słucha nieraz na sposób teatralny, t. zn. podziwia stronę techniczną, nie znając treści. Gdy zaś śpiew ustanie, w braku zainteresowania na rozmowie spędza czas w kościele. Trzeba więc iść po kolei i tłumaczyć wiernym, co znaczy aspersja, introit, ewangelja, ofiarowanie, prefacja, konsekracja, komunja; odpowiednio do tego wykładu pouczać, jak należy brać udział w poszczególnych częściach mszy św.

Jeżeli chodzi o sam udział wiernych we mszy, ogólnie wylicza się trzy sposoby tego uczestnictwa:

1. Msza św. jest pamiątką i powtórzeniem Ostatniej Wieczerzy, stąd będąc na mszy św., wyobrażamy sobie P. Jezusa w otoczeniu apostołów i spełniającego najśw. ofiarę; przejmujemy się pobożnemi uczuciami, aktami miłości i gotowości na ofiarę razem z Jezusem.

2. Msza św. jest powtórzeniem śmierci P. Jezusa w sposób bezkrwawy, mistyczny, przeto w czasie mszy św. zachowujemy się z taką pobożnością, skruchą, żalem za grzechy i współczuciem dla Pana Jezusa, jakie ożywiały święte osoby pod krzyżem: dobrego łotra, Marję Magdalenę, św. Jana.

3. Msza św. jest ofiarą Ciała i Krwi P. Jezusa, w której cały Kościół uczestniczy, zatem wszyscy wierni łączą się z kapłanem i współofiarują Chrystusa, a zarazem siebie samych: swoje prace, cierpienia, miłość swoją i gotowość nawet na męczeństwo współofiarują razem z ofiarą Ciała i Krwi Pańskiej, podobnie jak to czyniła Matka Najśw. pod krzyżem.

Ten trzeci sposób uczestniczenia jest najdoskonalszy; wynika z istoty mszy, jako naszej ofiary, to też nad nim zastanowimy się dłużej, szczególnie odnośnie do zbiorowego udziału wiernych we mszy św. Kwestję spekulatywną o istocie mszy św. zostawiamy na boku, bo tu ona nie należy. W każdym razie chcemy zaakcentować rolę królewskiego kapłaństwa czyli kapłaństwa zwyczajnych wiernych na podstawie charakteru sakramentalnego chrztu i bierzmowania, co zgodnie podkreślają wszyscy teologowie. Na mocy poświęcenia przez chrzest wierni z całem mistycznem Ciałem ofiarują najśw. Hostję na ołtarzu, łącząc głos swój z głosem kapłana, modlą się z całym Kościołem złączonym z głową i to urzędowo. Równocześnie zaś wierni są jedną żertwą ofiarną z Chrystusem. Zbawiciel chciał, by jego ofiara była dopełniona naszą ofiarą; bez naszego udziału jego ofiara nie będzie zupełną.

Odpowiedniem do tej nauki dogmatycznej winno być uczestnictwo wiernych we mszy św. Praktycznie ten udział w głównych częściach mszy św. możnaby oddać następującemi słowy:

Ofiarowanie: Mój Boże, ofiaruję ci chleb i wino, które ma być przemienione w Ciało i Krew Twego Syna. Zarazem ofiaruję Ci moje myśli, słowa, uczynki, łącząc je z intencjami jego Boskiego Serca. Przyjmij, Panie, tę ofiarę na większą chwałę Twoją i na mój pożytek zbawienny, na potrzeby mych bliźnich i całego Kościoła świętego.

Konsekracja: Chrystus staje się obecny pod postaciami chleba i wina i ofiaruje się za mnie. Wzbudzę akt wiary, uwielbienia i uniżenia z całego serca: O najśw. Ciało mego Zbawiciela, wydane za mnie na krzyżu, cześć ci oddaję! O Krwi mego Zbawiciela, wylana dla odpuszczenia grzechów, wielbię cię, oczyść mą duszę z grzechów; wraz z twą ofiarą, o Jezu, ofiaruję też moje cierpienia, prace i całe moje życie. (Na-

wiasem dodajmy, że kto w czasie podniesienia św. Hostji lub podczas wystawienia, adorując Pana Jezusa, wymawia akt strzelisty: „Pan mój i Bóg mój", ten za każdym razem zyskuje odpust 7 lat i 7 kwadragen, a odpust zupełny, gdy go powtarza przynajmniej raz na dzień w ciągu tygodnia).

Komunja, ile możności sakramentalna, jeśli nie, to przynajmniej duchowna: O Jezu, mój Zbawicielu, wierzę, że jesteś obecny w Najśw. Sakramencie, wielbię Cię i miłuję z całego serca i pragnę przyjąć do swej duszy; oddaję ci się bez zastrzeżeń, nie dopuść, bym się oddalił od Ciebie!

W dawnych czasach wierni wykonywali swoje kapłaństwo w ten sposób, że przynosili dary naturalne (chleb i wino), które składali na ołtarzu, a po poświęceniu i przeistoczeniu otrzymywali je z powrotem w Komunji św. Później ustał ten zwyczaj, jednak duch jego pozostał; dzisiaj wierni mogą również i powinni składać ofiary pieniężne (na misjach często naturalne płody ziemi) na odprawienie mszy św. albo na tacę na cele kultu. Duszpasterz niech parafjanom wytłumaczy symboliczne znaczenie tych składek: w nich zawiera się cierpienie, praca, modlitwa i trud wiernych całego tygodnia. Składając je P. Bogu w ofierze, oddają Mu oni siebie samych całkowicie z ciałem i duszą. Przez symbolizm tych darów — po przemienieniu chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa — wierni stają się cząstką najświętszej ofiary, której owoce otrzymują w Komunji św.

Z duchem tego udziału we mszy św. nie da się pogodzić czytanie modlitw, nie mających związku z akcją dziejącą się na ołtarzu; nie wystarczy ono do wspólnoty duchowej w ofierze. Kto w czasie mszy św. odmawia modlitwy nie mające związku ze mszą św., ten wprawdzie zadośćuczyni przykazaniu kościelnemu o obecności na mszy św., jednak nie odnosi z niej tyle owoców, co człowiek zwracający uwagę na słowa i czynności kapłańskie. Toteż duszpasterz starać się będzie usuwać z rąk wiernych książeczki do nabożeństwa, które odbiegają od ducha ofiary, a przeciwnie — będzie im wkładał w ręce książeczki, w których wyraźnie są zaznaczone poszczególne części mszy św. z objaśnieniami i odpowiedniemi modlitwami. Co więcej, inteligentniejszym i bardziej zaawansowanym w życiu duchownem poradzi używać mszalików w tłumaczeniu polskiem. W niektórych miejscach cała parafja modli się z mszalika wraz z kapłanem celebrującym. Używanie mszalika jest ideałem, do którego powinni dążyć wszyscy

duszpasterze (w języku polskim mamy już kilka wydań). W ten sposób cała parafja będzie się modlić w łączności ze społecznością świętych. Taki sposób uczestniczenia wpoi wiernym głębsze zrozumienie ceremonij mszalnych i zamiłowanie do mszy św., a zarazem przyczyni się do punktualnego uczęszczania do kościoła.

W jaki sposób teraz to, cośmy powiedzieli, zastosować do zbiorowego udziału parafjan we mszy św. tak cichej, jako też — i to głównie — śpiewanej?

Cicha msza św. nie usposabia wiernych do czynnego w niej udziału; obecni na niej nie otrzymują wrażeń słuchowych, stąd zazwyczaj prywatnie odmawiają swoje modlitwy; więcej uświadomieni zwracają uwagę na głos dzwonka, który im przypomina główne części mszy św.

Aby wiernych pobudzić do czynnego udziału, szerzą się — pod wpływem ruchu liturgicznego — t. zw. msze recytowane. Msza recytowana polega na tem[1]), że obecni głośno odmawiają w języku łacińskim odpowiedzi, które przy cichej mszy św. zwykle odmawia ministrant, oraz części przez chór wykonywane przy uroczystej mszy, t. j. *Gloria*, *Credo*, *Sanctus*, *Benedictus*, *Agnus*. Lekcję i ewangelję — w czasie ich odmawiania przez celebransa — może w języku ludowym czytać inny kapłan, kleryk, zakonnik, katecheta, lecz nigdy niewiasta. Według odpowiedzi św. kongregacji Obrzędów (z 30 listopada 1935) msza recytowana jest chwalebna sama w sobie, jednak w każdym poszczególnym wypadku do miejscowego ordynarjusza należy osądzić, czy ta praktyka jest stosowną i czy nie wprowadzi zamieszania, np. z powodu kilku naraz mszy św. Niedozwolone jest natomiast:

1) Odmawiać naprzemian z celebransem *Gloria, Credo*, *Sanctus*, *Benedictus*, *Agnus* (S. R. C. n. 3248, 5).

2) Głośno recytować formuły, które kapłan odmawia pocichu, jak *Secreta*, *Canon* i słowa konsekracyjne, *Pater noster*. Te modlitwy wierni mogą sobie odczytywać pocichu ze swych mszalików (S. R. C. 4 sierpnia 1922, n. 4375 ad II).

3) W czasie podniesienia głośno recytować wezwanie: Pan mój i Bóg mój (S. R. C. 6 listop. 1925, n. 4397 ad I).

---

[1]) Por. *La Croix*, 3 III 1938, art. La Messe dialogée.

4) Również wierni nie mogą recytować modlitw zarezerwowanych ściśle kapłanowi, jak *Orate fratres; Domine, non sum dignus.*

Wreszcie zabronione jest dodawać jakiś obrzęd, ryt nieprzepisany rubrykami, jak np. przynosić na ołtarz chleb do ofiarowania, przeznaczony do Komunji wiernych, albo do cichej mszy dodawać ryt właściwy mszy uroczystej, np. okadzanie, błogosławieństwo chleba lub innych przedmiotów. Albowiem msza recytowana nie ma ze mszy cichej czynić mszy uroczystej, lecz tylko ma wiernych przygotować do niej, mianowicie ma ich nauczyć czynnego uczestnictwa w eucharystycznej ofierze.

Tak pojęte msze recytowane mogą się udać, ale tylko dla grona wyrobionych parafjan, szczególnie po miastach, np. dla sodalicji, uczniów gimnazjalnych i t. p. Trudniej natomiast byłoby urządzać je dla całej parafji. Msza recytowana wymaga przewodniczącego, który podaje ton i utrzymuje rytm przy recytacji; wymaga też bardzo wiele pracy i dłuższego przygotowania, zaznajomienia się wiernych z liturgją mszalną, z modlitwami i obrzędami mszy św. Próby takie z dobremi wynikami czynią duszpasterze zagraniczni, a i u nas szczególnie katecheci gimnazjalni.

W tym celu starają się oni o teksty mszalne dla wiernych; zakupują większą ilość tekstów mszy niedzielnej, objaśniają je (w niedzielę z ambony lub w sobotę wieczorem) i rozdają parafjanom uczestniczącym we mszy św. Przyznają oni jednak, że msza recytowana może mieć zastosowanie tylko w kołach chrześcijan liturgicznie wykształconych, gdy tymczasem duszpasterz ma całą parafję wciągnąć w czynny udział we mszy św. Toteż w dużych parafjach msza recytowana nie przyjęła się na długo.

Właściwą liturgją jest dopiero m s z a ś p i e w a n a, w której wierni mogą czynnie brać udział, łącząc swoje śpiewy z kapłanem. Aby określić sposób udziału wiernych we mszy śpiewanej, należy przedewszystkiem mieć na uwadze najważniejsze przepisy papieskie dla śpiewu i muzyki w kościele (Motu proprio Piusa X z 22 listop. 1903, i Instrukcja Piusa XI z 20 grudnia 1928), a mianowicie:

1. W obrzędach liturgicznych, a szczególnie we mszy św. Kościół posługuje się językiem łacińskim; podobnie wymaga, aby pieśni religijne były wykonywane przez lud obecny w ję-

zyku łacińskim. Papieże żądają przywrócenia śpiewu gregorjańskiego, by wierni mogli brać czynniejszy udział we mszy św. Wspólny śpiew zbliży ich do ołtarza. Jednak obok chorału gregorjańskiego jest dozwolony — na drugiem miejscu — i poważny śpiew polifoniczny, odpowiadający charakterowi służby Bożej.

2. Posługiwanie się grą na organach przy śpiewie choralnym jest dopuszczalne, z wyjątkiem tych części mszy św., które ma się śpiewać bez towarzyszenia organów. Również muzyka na poważnych instrumentach muzycznych może być zachowana przy śpiewie liturgicznym, byleby go nie przygłuszała; śpiew bowiem przed muzyką zajmuje pierwsze miejsce w kościele.

3. Śpiew odtwarza cały tekst liturgiczny, bez żadnej zmiany i bez skracania.

4. Przy śpiewie prefacji i *Pater noster* przez kapłana nie wolno towarzyszyć grą na organach.

5. Przy mszach śpiewanych ludowy śpiew nie jest dozwolony. Lud powinien brać udział w świętych obrzędach w języku liturgicznym t. j. łacińskim i wykonywać części mszalne naprzemian z kapłanem.

6. Gdzie lud nie zna łacińskiego języka, tam chór powinien wykonywać części mszalne w niedziele i święta. W tym celu nie tylko przy większych świątyniach, ale i przy mniejszych kościołach parafjalnych winny powstać szkoły chłopców, aby ich głosy łączyły się z chórem męskim, zwłaszcza w muzyce polifonicznej. We mszy śpiewanej w dniach powszednich sam organista ma śpiewać przy organie części mszy stałe i zmienne.

Z tych przepisów widać, że chorał gregorjański w czasie uroczystej mszy (sumy) wykonywany przez wszystek lud zgromadzony byłby ideałem czynnego uczestnictwa we mszy św.; wszak on jest urzędowym śpiewem kościelnym, najlepiej odpowiada pierwotnej formie mszy św. i wprowadza w jej ducha. Jednak przeszkodą jest tu nieznajomość języka łacińskiego. Wprawdzie porobiono pewne próby w tym względzie — zagranicą i u nas — np. lud śpiewa po łacinie *Asperges, O Salutaris* i t. p., jednak droga to ciężka. Zapewne ta trudność jest przyczyną, że przepisy powyższe nie weszły w życie. I u nas w Polsce pomimo kościelnych reform co do śpiewu utrzymuje się śpiew w języku polskim.

Z tego powodu w imieniu zgromadzonego ludu w kościele — szczególnie po miastach — kościelny chór wykonuje części mszalne w języku łacińskim. Gdy chór śpiewa, to wiernym ułatwia — do pewnego stopnia — udział we mszy św., jednak często pozostają oni również biernymi; wsłuchują się w śpiew artystyczny, a nie wchodzą w treść modlitw mszalnych i w ducha liturgji. Zresztą nie wszystkie parafje mogą się zdobyć na utworzenie chóru kościelnego (choć dzisiaj jest to ułatwione z powodu istnienia po parafjach katolickich stowarzyszeń młodzieży).

Dlatego wielu duszpasterzy postępuje inną drogą, mianowicie dąży do tego, by lud wykonywał modlitwy mszalne w języku ojczystym, albo też pieśni mszalne układem i treścią odpowiadające liturgicznym częściom mszy św., bo tego rodzaju śpiew ułatwia łączenie się z ofiarą mszalną: pieśni te wyrażają treść odbywających się ceremonij, dlatego pomagają one do owocnego brania udziału w poszczególnych częściach mszy św. Zaleca to i polski synod plenarny w uchwale 116: „Należy dołożyć starań, aby obok chorału i polifonji rozbrzmiewał w kościołach i na procesjach śpiew w języku ojczystym, dostosowany do przepisów liturgicznych". Natomiast śpiewanie pieśni niedostosowanych do akcji dziejącej się na ołtarzu nie powinno być tolerowane, np. Boże w dobroci, Serdeczna Matko, a nawet pieśni eucharystyczne, jak Twoja cześć, chwała i t. p. Przez to bowiem nie osiąga się celu Kościoła, przez powyższe zarządzenia zamierzonego, jakim jest dążność do czynnego udziału wiernych w najświętszych tajemnicach, *actuosa cum sacrosanctis mysteriis communicatio,* jak się wyraża Pius X.

W praktyce jeden z teologów zagranicznych (ks. Parsch) taki przedstawia dla Niemców sposób uczestniczenia we mszy św., który może być równie dobry dla Polaków. W miejsce śpiewu chóru — zgodnie z duchem liturgji — lud śpiewa pieśni mszalne w języku ojczystym (pozwala na nie synod plenarny, uchwała 116), wyrażające ideę ofiary, t. j. podczas części stałych we mszy śpiewanej (*Ordinarium: Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus, Benedictus, Agnus)*; podczas części zmiennych mszy śpiewanej (Proprium: Introit, Graduał, Ofertorjum, Communio) lud śpiewa pieśni z okresu kościelnego. Natomiast części, które celebrans śpiewa (a więc: oracja, epistoła, ewangelja, prefacja, Pater noster, Postcommunio),

lektor specjalny odczytuje w języku ojczystym (konferencja Episkopatu ma ustalić jeden tekst dla całej Polski[1]). W tym celu trzeba się naturalnie postarać o takie pieśni mszalne. Odpowiedzi wykonuje lud głośno w języku łacińskim: one jako klamry łączą lud z kapłanem. Taka msza — łatwa nawet dla prostego ludu — odpowiada duchowi liturgji i prawom czynnego udziału we mszy św. Trzeba jednak zauważyć, iż doskonalszym jest udział we mszy św., gdy lud w języku ojczystym śpiewa same modlitwy mszalne i na drugiem dopiero miejscu należy postawić śpiew pieśni mszalnych.

Z ofiarą mszy św. łączy się Komunja św. jako jej dopełnienie i jest rzeczą anormalną oddzielać je od siebie. Podobnie ze współudziałem w ofierze mszy św. łączy się współudział wiernych w Komunji św. Komunja św. daje pełnię współudziału w ofierze Kalwarji, przez nią bowiem łączymy się najściślej z Jezusem i stajemy się współofiarami. Komunja św. w czasie mszy wyraża tę głęboką myśl, że łaski przez nią na nas spływające są owocem Odkupienia. P. Bóg przebłagany ofiarą mszy św. udziela nam łask swoich, jednoczy nas z Chrystusem w jedno mistyczne Ciało. W ten sposób msza św. staje się źródłem łask dla każdego z osobna wiernego i dla wszystkich razem, dla całej parafji. Dlatego duszpasterz będzie się starał — ile możności — rozdzielać Komunję św. w czasie mszy św. Pewnie, że owoce istotne Komunji poza mszą św. są te same i kapłan musi to czynić, gdy wierni nie mają czasu, albo gdy niema więcej mszy św.; jednak z reguły wypada komunikować w czasie mszy św.[2]), bo wówczas i owoce przypadłościowe są większe. Kto się uchyla od tego, ten jest podobny do dziecka, które osobno, w kąciku chce spożywać wieczerzę, gdy cała rodzina złączona zasiada wspólnie do stołu (np. przy wieczerzy wigilijnej lub paschalnej). Takiego człowieka uważalibyśmy za dziwaka, a przynajmniej za uciekającego od radości, płynącej ze wspólnego towarzystwa rodziny.

Przez taki udział we mszy św. korzystamy w całej pełni z jej bogactw duchowych; wówczas msza św. jest dla nas nauką i przedmiotem rozmyślań, gdyż kapłan przemawia do nas; modlitwą, ponieważ modlimy się z kapła-

---

1) Uchwała 117 synodu plenarnego.

2) Por. sobór tryd. sess. 18, cap. 6.

nem; czynnością ofiarniczą, z którą współdziałamy, gdyż odpowiadamy kapłanowi i wzbudzamy akty wiary, nadziei, miłości, dziękczynienia, żalu i ofiary; zarazem msza św. jest dla nas źródłem siły, którą otrzymujemy w Komunji św. i ośrodkiem całego życia duchowego w parafji.

Grzesznikom nie dozwala Kościół brać udziału we mszy św. przez przyjęcie w stanie grzechu ciężkiego Komunji św.; przez to jednak nie zabrania im uczestniczyć w tej ofierze; owszem na grzeszników zarówno jak na sprawiedliwych nakłada obowiązek wysłuchania mszy św. w każdą niedzielę i święto obowiązkowe. Duszpasterz nie omieszka zachęcić parafjan do udziału we mszy św., choćby się poczuwali do grzechu ciężkiego. U stóp ołtarza grzesznik klęczy jak pod krzyżem, wspomina sobie śmierć Pańską i przez to może się pobudzić do żalu serdecznego, wyspowiadać się i zostać usprawiedliwionym. Iluż to nawet wielkich grzeszników nawraca się, gdy korzystają z bezkrwawej ofiary!

Co więcej, nie tylko parafjanie obecni na mszy św., ale i nieobecni mogą brać w niej duchowy udział i łączyć się w najśw. ofierze. Dla podtrzymania pamięci na tę ofiarę istnieje piękny zwyczaj dzwonienia sygnaturką podczas głównych części mszy św. (równocześnie z dzwonkami ministranta przy ołtarzu), którego duszpasterz nie omieszka podtrzymać. Słysząc głos dzwonu, parafjanie nieobecni w kościele, zajęci pracą w domach, na polach czy w fabrykach, mogą się łączyć duchem z Jezusem i z całem mistycznem ciałem, spalającem się na ofiarę Boskiemu Majestatowi i wzbudzać akty miłości, upokorzenia, ofiary.

To samo mogą wierni czynić o każdej porze dnia, bo niema chwili, w którejby się nie odprawiała msza św. Istnieje mapa kuli ziemskiej, na której jest oznaczony czas odprawiania najśw. ofiary kolejny w poszczególnych krajach. Z tej mapy widać, że msze św. odprawiają się bezustannie, a mianowicie — według statystyki — mniej więcej cztery równocześnie, około 350,000 mszy na całej kuli ziemskiej w ciągu każdej doby. Na każdą sekundę przypada czterokrotne podniesienie, w którem Syn Boży ofiaruje się Ojcu niebieskiemu dla zbawienia świata. Stąd za każdem uderzeniem serca każdy wierny może duchowo jednoczyć się z Chrystusem głową i wraz z nim wielbić P. Boga, dziękować Mu za łaski, przepraszać za grzechy i prosić o nowe łaski! Duszpasterz, który

tej praktyki wyuczy swych parafjan, zaiste wielce się przyczyni do ich uświęcenia!

Kończąc te uwagi pasterskie o udziale wiernych we mszy św., zwłaszcza śpiewanej, uroczystej, powtarzamy, jaki ideał ma przyświecać duszpasterzowi. Śpiew należy szczególnie pielęgnować, jako najuroczystszą formę modlitwy i udziału wiernych we mszy św. Kto śpiewa, ten się modli podwójnie i więcej zbliża się do P. Boga; ale niech to będzie śpiew wspólny wszystkich parafjan i dostosowany do przepisów liturgicznych. Liturgiczny śpiew ludu jest akcją katolicką, apostolstwem świeckich. W nabożeństwie parafjalnem akcja katolicka osiąga swój punkt kulminacyjny, staje się akcją liturgiczną czyli publiczną służbą Bożą, w której udział biorą wszyscy. Wspólna msza śpiewana w parafji wzmacnia poczucie wspólnoty i jedności katolickiej. „Wspólnota w ofierze, wspólnota w modlitwie, wspólnota w uczcie eucharystycznej“! Wspólna żertwa ofiarna leżąca na ołtarzu sprawia, że wszyscy parafjanie czują się braćmi, siostrami, że wspólnie myślą, cierpią, pracują dla siebie nawzajem. Prawda o Świętych obcowaniu przedziwnie ujawnia się w takiej sumie parafjalnej. Przez tak pojęty udział we mszy św. parafjanie będą się czuli jedną społecznością, jak pierwsze gminy chrześcijańskie.

KAZNODZIEJSTWO ŚW. JANA CHRYZOSTOMA I ZAINTERESOWANIE SIĘ NIEM W POLSCE.

Dr Stanisław Szeligiewicz, Kraków.

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ.

Dzieje wymowy kościelnej stwierdzają, że na obydwu terenach Kościoła, wschodnim i zachodnim, zabłysnęły prawie równocześnie dwie gwiazdy na firmamencie retoryki, św. Augustyn i św. Jan Złotousty. Jeden wychowanek kultury łacińskiej dochodzi do szczytu genjalności retoryckiej w języku łacińskim, drugi zaś wykształcony na greckich mistrzach w tymże języku wznosi się na wyżyny sztuki mówniczej, głosząc słowo Boże.

Św. Jan, któremu w VII wieku przydomek Złotoustego nadano, urodził się w Antjochji w r. 344, mieście naówczas uchodzącem za stolicę rzymskiej Azji, liczącem 200.000 mieszkańców, w czem połowę chrześcijan. Po wczesnej śmierci ojca, wyższego wojskowego, wychowuje się pod opieką matki Antuzy, a kształci się pod kierunkiem pogańskiego retora, słynnego Libanjusa, który wyczuł u swego wychowanka wielkie walory na przyszłość. Kiedy go bowiem pytano, kto będzie jego następcą w dziedzinie wymowy, miał rzec: „Jan, o ile go chrześcijanie nie pozyskają“. Nie omylił się Libanjus, bo uczeń jego przyjął w dojrzałym już wieku chrzest. Jakiś czas oddawał się zawodowi adwokackiemu, jednak przylgnął rychło do studjum Pisma świętego i do życia ascetycznego. Po śmierci matki udaje się do klasztoru, niedaleko Antjochji, i tam znów ćwiczy się w życiu duchownem pod kierunkiem Diodora z Tarsu. Po sześciu latach klasztornego życia wraca do miasta i przyjmuje święcenia kapłańskie, obejmując w kościele zwanym *templum aureum* urząd kaznodziejski, który spełnia przez 12 lat. Na te właśnie lata przypadają najpiękniejsze jego kazania, zyskując mu rozgłos i sławę.

W r. 397, po śmierci patrjarchy Nektarjusza z Konstantynopola wbrew swej woli, a na rozkaz cesarza Arkadjusza otrzymuje Jan sakrę biskupią od patrjarchy Teofila z Aleksandrji i obejmuje arcybiskupstwo w Konstantynopolu. Od

tego czasu zaczyna się w jego życiu okres cierpień za wiarę i przykrych doświadczeń. Wytykając hulaszcze życie dworu cesarskiego, naraził się cesarzowej Eudoksji, za której przyczyną głównie doszło wreszcie do tego, że cesarz, ulegając małżonce, skazuje go na wygnanie. I kiedy już przewieziony został przez Bosfor, wybuchło powstanie ludu w Konstantynopolu, co spowodowało sprawczynię srogiego wyroku do odwołania go. Niedługo jednak trwał spokój Jana, bo już po dwóch miesiącach nienawistna Eudoksja sprawia, że znów oskarżono Jana o obrazę majestatu i mściwa cesarzowa pozbywa się nareszcie niewygodnego biskupa. W r. 404 bowiem zostaje Jan odesłany na wygnanie do miejscowości Kukusus w Armenji, gdzie znajduje schronienie u tamtejszego biskupa. Kiedy następnie wyznaczono mu nowe miejsce pobytu Pityus na wschodniem wybrzeżu morza Czarnego, w drodze umiera w roku 407.

Już w r. 438 wielkość dzieł retoryckich Jana i świątobliwość jego żywota ocenił należycie syn jego prześladowczyni, cesarz Teodozjusz II, polecił bowiem kości Jana przewieźć do Konstantynopola i uroczyście pochować w kościele Apostołów. Dziś spoczywają szczątki Świętego w Rzymie w bazylice św. Piotra[1]).

Twórczość kaznodziejska Chryzostoma zamyka się w homiljach, mowach okolicznościowych, listach i rozprawach. Sławę zaś zyskał głównie przez homilje, których olbrzymi zbiór składa się z 67 in Genesim, 90 in Matthaeum, 90 in Johannem, 58 objaśnień Psalmów i zbiorowych objaśnień listów św. Pawła, którego był szczególniejszym wielbicielem. Bardzo wiele mów okolicznościowych napisał Jan Złotousty pod różnorakiemi nazwami i formami, jak *conciones*, *sermones*, *orationes*, *demonstrationes* i t. p.[2]). Listy są pod względem formalnym najpiękniejszemi mowami. Wreszcie rozprawy, czyto w formie dialogów czy mów, zawsze mają cechy skończonych dzieł retoryckich.

Te to główne rodzaje twórczości Chryzostoma wypełniają kilkanaście grubych tomów jego dzieł[3]).

---

1) Rauschen-Wittig, Grundriss der Patrologie, Freiburg, str. 180 n.

2) Cytuję je w przyjętej nomenklaturze łacińskiej.

3) Vide P. Migne, Patrol. graeca, t. 7—13, 57—64.

POGLĄDY CHRYZOSTOMA NA WYMOWĘ KAZNODZIEJSKĄ.

W pismach swych rozsiał Chryzostom na wielu miejscach dużo uwag dla mówców, tak że możnaby z nich zebrać pokrótce jego teorję wymowy kaznodziejskiej.

Z ogólnego stanowiska biorąc, ma Chryzostom bardzo wysokie pojęcie o obowiązkach i dostojeństwie mówcy i twierdzi, że pierwsza to i jedna z najważniejszych zalet każdego kapłana — umieć pięknie przemawiać. Wymowę kaznodziejską uważa za jeden z ważnych środków duszpasterskich. Toteż dlatego kapłan winien być doskonale w kaznodziejstwie wyćwiczony. Wymowa jest bowiem podobna do uprawy roli. „Rzucamy ziarno nauki tak, że nadzieja dobra żywi nasze dusze". „Albowiem i wieśniak, gdy nie bez trudu rzuci ziarno, lecz widzi ziemię żyzną, zapomina o dawnym znoju. Widząc zasiewy obfitujące w plony, stara się o dalsze przechowywanie pracy w oczekiwaniu korzyści. Zaprawdę ta uprawa roli (wymowa) o ile żyźniejszą jest i korzystniejszą. Albowiem tamta przynosi obfitość materjalnych owoców, dając ciałom pożywienie, ta zaś, gdy rzuca naukę mów, przynosi obfitość darów duchowych" [1]).

Jak ciało żywi się chlebem, tak dusze odżywiać się winny wymową, poucza na innem miejscu. Nie łatwą to jest pracą być kaznodzieją, twierdzi Chryzostom, i pięknie porównuje wymowę z walką, w której trzeba być mężnym i wytrwałym, w przeciwnym razie wiele się z niej ran odnosi. Prawdziwość tego poglądu stwierdził żywot Chryzostoma.

W poglądach na cele wymowy połączył św. Jan Złotousty teorję, którą świat starożytny głosił, z tem, co niezależnie od jego poglądów wyznaczyły wymowie wieki późniejsze. Jak to dowiódł ks. J. Czuj, cele wymowy według pojęć starożytnych retorów zmierzały ku temu wyłącznie, by przekonać słuchacza. Dopiero nowsza teorja retorycka wykazała, że w definicji starożytnych brakło pierwiastka etycznego, bo w wymowie powinien być uwzględniony cel nastrojenia słuchacza ku umiłowaniu słowa Bożego i dobra etycznego [2]).

Otóż wedle Chryzostoma cele wymowy mają się skupiać w tem, aby mówca „nieumiarkowaną i bezowocną roz-

---

1) Homil. in illud „Vidi Dominum sedentem in solio excelso" I, 4.

2) Ks. Jan Czuj, Poglądy św. Augustyna na wymowę kościelną. Warszawa 1936, str. 7.

kosz tłumu uśmierzyć umiał, zaś słuch jego do pożytecznych rzeczy zwrócił tak, aby lud za nim podążał i wolę jego spełniał, a nie by się mówca dał unieść żądzy tłumu“ [1]). Te cele zaś można uzyskać przez pogardę sławy i siłę wymowy.

Przed unikaniem sławy przestrzega Chryzostom w ten sposób: *Verum sermonem suum ad Dei placitum concinans, haec enim eius norma, hic terminus artificii debet esse, non plausus vel laudes, siquidem ab hominibus etiam laudetur...*[2]). Siłę wymowy zaś osiągnąć można — jak twierdzi — nauką i pracą. Idzie tu chyba za znanem powiedzeniem: *poeta nascitur, orator fit.* Nie wystarczy więc wrodzona zdolność pięknego mówienia, lecz trzeba te zdolności pracą rozwijać. Zdaje sobie Złotousty sprawę z trudności mówniczych, których nauką nawet zwalczyć nie można, kiedy mówi: *Quorsum attinet reliquas enumerare difficultates, quas nec docere nec ediscere quisquam possit, nisi in rebus ipsis fuerat*[3]). Ma zapewne tu na myśli wprawę retorycką, którą można dopiero z czasem nabyć.

W epoce, kiedy żył św. Chryzostom, miała wymowa kościelna przed sobą szczególniejsze cele polemiczne. Wychodząc więc z założenia, że każdy kapłan musi być doskonałym mówcą, poucza Chryzostom, że musi się przygotować kaznodzieja do sporów z Żydami, Grekami i heretykami, aby zaś był należycie w tem wprawiony, powinien być też biegłym w dialektyce, gdyż *sermone muniamur necesse est, ne inimicorum telis confodiamur, imo potius, ut ipsos feriamus*[4]).

Wiadomo, że jedną z najważniejszych rzeczy w kaznodziejstwie jest źródłowość kazań. Chryzostom uważa źródła za rzecz podstawową i zasadniczą, której nie można lekko traktować. Niewyczerpanem zaś źródłem wedle niego jest przedewszystkiem Pismo święte, gdyż „z nieznajomości Pisma św. wiele błędów powstaje. Stąd wielka zaraza heretycka, opieszały sposób życia i bezowocne prace“. Rozszerza to potem bardzo pięknie: *Sicut enim qui luce privarentur, recta incedere nequeunt, sic qui Divinarum radicis scripturarum non fruuntur, necessario peccant et errant frequenter, utpote qui in densissimis tenebris ambulant*[5]). W podobny sposób wyka-

---

[1]) „O kapłaństwie” V.
[2]) ibidem. [3]) ibidem IV.
[4]) De Sacerdotio IV.
[5]) Epistola ad Romanos.

zuje pożytek Pisma św. w mowie *De mundi creatione*, a w mowie IV *De sacerdotio* mówi znowu: *Omnis scriptura divinitus inspirata utilis est ad docendum et arguendum, ad corrigendum, ad erudiendum in iustitia, ut perfectus sit homo Dei.* Pod mianem *omnis scriptura divinitus inspirata* miał na myśli oczywiście i listy apostolskie i księgi proroków. Sam zaś przeobficie czerpał z tych ksiąg w swem kaznodziejstwie, szczególnie zaś z listów św. Pawła.

Z innych uwag, dotyczących sztuki mówienia, cenne jest to, co mówi o prawdzie kazań: *Rogo autem, ne quis, ut amicus ad gratiam, sine examine excipiat, neve ut inimicus illa quasi peregrina respuat, sed videat ubique, num veritas dictis palmam tribuerat*[1]). Baczyć też winien mówca na wewnętrzne usposobienie słuchaczów: *ut bene affectum auditorem et omni cura liberatum ac tristitia verba faciat*, słowo zaś określał jako miecz, którego się z wielką ostrożnością używać powinno.

Ciekawe też są uwagi Chryzostoma, odnoszące się do formalnej strony kazań, więc do ich układu. Radzi zaczynać często inwokacją do Boga, np. *Age ergo ad rem ipsam demonstrandam properemus, ad precationem rursum conversi, saepe enim accidet, ut ipsa precandi series argumenta pro se proposita nobis subpeditet. Vocamus itaque ipsum Regem Regum et Dominum...*[2]).

Ważną też rolę przypisuje zwrotom modlitewnym wśród kazania, kiedy powiada: *Alioquin quid concio prosit, nisi cum oratione coniuncta? Prius oratio, deinde sermo, sicut aiunt Apostoli. Sic Paulus facit, cum in epistolarum exordio precetur, ut quasi lumen lucernae, ita et orationis verbo praeeat*[3]).

W zakończeniach zaś kazań radzi Chryzostom dokonywać zebrania tego wszystkiego, co stanowiło treść kazania. *Ubinam ergo nuper disputanti finem fecimus? Nam inde sermonem resumere convenit, una siquidem est doctrinae series*[4]).

Możnaby więcej znaleźć w pismach Chryzostoma rozproszonych poglądów i uwag o warunkach dobrej wymowy. Te bezpośrednie wypowiedzenia się mówcy zmierzają do stwierdzenia tego, że św. Jan Złotousty przypisywał kaznodziejstwu

---

[1]) De mundi creatione I.
[2]) De incomprehensibili Dei natura, III.
[3]) ibidem. [4]) ibidem, IV.

duże znaczenie w kompleksie wszystkich obowiązków kapłańskich.

Jak zaś w praktyce teorje kaznodziejskie stosował i jakie były charakterystyczne cechy jego sztuki mówniczej, postaramy się na przykładach z jego dzieł wykazać.

CHARAKTERYSTYCZNE CECHY RETORYKI CHRYZOSTOMA.

Przypatrzmy się więc, jak się przedstawiają retoryczne walory wymowy Złotoustego w poszczególnych rodzajach jego twórczości. Pierwszorzędnym dokumentem, na którym te walory śledzić można, są z pośród wszystkich rodzajów, jakie uprawiał, homilje. Olbrzymi ich zbiór, stanowiący wykład całej nauki wiary świętej, jest prawdziwą kopalnią wszystkich tych warunków, tudzież środków, jakiemi kaznodzieja operować winien dla uzyskania najlepszych rezultatów kaznodziejstwa. Homilje Chryzostoma, które z natury rzeczy zgodnie z ich istotą są egzegezą ewangelij, stanowią zarazem stwierdzenie zgodności wszystkich ewangelistów. Wyjaśnienie słów i zdań ewangelistów popiera kaznodzieja bardzo drobiazgowym i gruntownym wykładem, tudzież daje odpowiednią naukę dostosowaną do tekstu Ewangelji, podaną w sposób łatwy i przystępny, a zarazem wzniosły i szczytny.

Pod względem formalnym wyróżnić można w homiljach dwa gatunki. W jednych wykłada Chryzostom treść Pisma św., podając wstępną doktrynę, w innych zaś daje egzegezę ewangelij i ksiąg apostolskich w dniach świątecznych i w różnych okolicznościach i te mają charakter kazań o specjalnym celu i znaczeniu. Wszystkie zaś homilje mają jednakowy układ. Zaczynają się zwykle wstępem dość obszernym, w którym mówca wyłuszcza, o czem zamierza mówić. Potem następuje bardzo obszerny wykład prawd, zawartych w tekscie, lub nauka moralna z tekstu wypływająca, przybrana w wyczerpujące argumenty i długie nieraz wywody. Każda homilja kończy się syntetycznem zebraniem rzeczy i ostatecznym morałem, który ma charakter pobożnej pobudki. Ten wzorowy pod względem logicznym układ cechuje wszystkie homilje i wpływa na to, że umysł słuchacza czy dzisiejszego czytelnika bez trudu kojarzy wszystkie istotne części kazania w jedną ściśle skupioną całość, pomimo przydługich kazań.

Dla charakterystyki tylko — bo trudno w niniejszym szkicu poddawać analizie wszystkie homilje — weźmy pod rozwagę niektóre z nich, uwidaczniając wyraźnie wyżej już omawiane cechy.

Z przedziwnym kunsztem wprowadza kaznodzieja słuchacza w Ewangelję w hom. I. in Matthaeum, a zarazem rozpoczyna tem cały zbiór kazań.

Wyjaśniwszy na wstępie tekst początkowych słów ewangelji, prowadzi dalej doktrynę logicznie, wiążąc myśli właściwie i nie odbiegając nigdzie od tematu zasadniczego. A że pragnie zaakcentować, że tą homilją rozpoczyna cały ich zbiór oparty w ewangelji św. Mateusza, porównywa pięknie ewangelję do wodza, który ma prowadzić słuchaczów do złotego miasta, do nieba. Tak oto ten ustęp wygląda w tłumaczeniu polskiem: „Albowiem przez samą bramę wchodzimy i wielkiej nam trzeba gorliwości... Otwórzmy więc bramy serc naszych, otwórzmy uszy nasze, a mając wejść ze drżeniem wielkiem do przedsionka, oddajmy pokłon królowi, albowiem pierwsze zbliżenie zdolne jest widza przerazić. Zamknięte są wprawdzie przed nami te bramy, ale gdy je ujrzymy otwarte, wtedy ujrzymy wielką światłość wewnątrz. Albowiem ten celnik, oczyma ducha wiedziony, obiecuje ci wszystko pokazać, gdzie król siedzi na tronie i które wojska koło niego uszykowane, gdzie aniołowie, gdzie archaniołowie, które miejsca przeznaczone i jaka droga tam prowadzi, jaki los przypadł tym, którzy tam pierwsi zostali przyjęci, którzy po nich i którzy po tych. Jakie są między tymi obywatelami stany, kto należy do senatu, jaka jest różnica ich godności. Nie wchodźmy więc z hałasem i wrzaskiem, ale i w tajemniczem milczeniu. Jeżeli bowiem w teatrze wtedy dopiero, gdy wielka cisza się zrobi, pismo królewskie odczytane bywa, to daleko więcej w tem mieście powinni się wszyscy uciszyć i z podniesionym umysłem i natężoną uwagą stać...[1]).

W drugiej zaś homilji całe cztery rozdziały poświęca mówca wykładowi ewangelji, następnie w piątym zaczyna właściwe kazanie przepięknem porównaniem: „Czy nie widzisz, jak oczy ciała, gdy w dymie przebywają, zawsze łzami zachodzą, gdy zaś na świeżem powietrzu, na łące, na brzegach, ogrodach spoczywają, bystrzejszemi i zdrowszemi się stają. Takie jest też oko duszy, jeśli na łące duchowych mów spoczywa, będzie czyste i jasne i bystre, a jeżeli się zwróci do dymu spraw doczesnych, będzie bardzo często łzami zachodziło i płakało teraz i wtedy. Do dymu bowiem podobne są sprawy ludzkie...[2]). Uczy dalej, jak poskramiać gadatliwość, a przejąć się natomiast lekturą Pisma świętego. Wszędzie widoczne powiązanie rzeczy i płynne, swobodne powiązanie myśli.

Pod tym szczególnie względem mogłaby być wzorem homilja III in Matthaeum, w której w zręczny sposób ze słów ewangelisty o narodzeniu Chrystusa wyprowadza mówca cały wywód o poko-

---

1) J. **Krystyniacki**, Przekład homilij in Math. Lwów 1886.
2) Tamże.

rze chrześcijańskiej. Argumentem zasadniczym jest ubóstwo narodzenia, dalsze zaś wywody opiera mówca na licznych przykładach z Pisma świętego i Psalmów. Operuje też przeciwstawieniami, gdy np. w homilji II., mówiąc o gniewie, nawiązuje do miłości Chrystusa. Takich sposobów przeprowadzenia myśli jest w homiljach bez liku.

Sposób przekonywania słuchacza — co wedle wszelkich teoryj kaznodziejstwa, jak już przedtem powiedziano, jest głównym celem wymowy—doprowadza Chryzostom do prawdziwego artyzmu. Umie bowiem z tego uczynić silne narzędzie do zniewolenia słuchacza. A tak umiejętnie dowodzi, że piękno z pożytkiem łączy, nie licząc zaś na chwilowe wrażenia, wpaja w dusze słuchaczów mocne przekonania.

Niech to zilustruje jeden bodaj urywek: „Jak bowiem, jeśliby kto takiego, który oddany cudzołóstwu, chwalił i pochlebiał, natenczas staje się raczej jego oskarżycielem niżeli chwalcą, tak też i my jeżeli chciwego sławy wszyscy chwalimy, oskarżamy go raczej, niżeli chwalimy. Dlaczego więc ubiegasz się za rzeczą, która ci całkiem co innego sprowadzić zwykła? Jeśli bowiem żądny jesteś sławy, to pogardzaj sławą, a staniesz się sławniejszym od wszystkich“ [1]).

Ostatnie zdanie sprawdziło się na samym Chryzostomie, który, jak podają jego biografowie, był znany z pokory, a jednak wieki całe przetrwało jego imię.

Często mówca porzuca własny wykład w kazaniu, a używa jako dowodów słów Pisma św. Do najpiękniejszych zaś miejsc należą okresy, w których dowodzi zapomocą pytań retorycznych. Nieraz w jednym ustępie można spostrzec całą różnorodność pytań, zaczynających się od takich wyrazów, jak: dlaczego, cóż zaprawdę, cóż powiesz, jakże, skądże, w jakiż sposób i t. d.

Homilje zaczynają się dłuższemi wstępami. Wstępy te służą do łatwiejszego rozwinięcia myśli lub do podniecenia uwagi słuchaczów. Np. homilję V. zaczyna mówca od nauki, że zajęcia zewnętrzne niweczą słowo Boże. Wstęp ten ma za zadanie nauczyć wiernych należytego słuchania i rozważania kazania. Mówca uczy, że kazanie nieprzemyślane po wysłuchaniu przez słuchacza nie daje duchowych owoców. Stąd wypływa dla kaznodziejów nauka, że kazanie powinno być tak treściwe i zrozumiałe, aby słuchacze mogli je należycie zrozumieć i zapamiętać. To też u Chryzostoma nie znajdziemy kazania rozbieżnego w treści. Każdy ustęp i rozdział pozostaje w ścisłym związku z poprzednim. Z tą to ścisłością logiczną

---

[1]) Tamże.

łączy mówca przedziwną gruntowność wykładu i jasność egzegezy.

Homilje są różnorakiego rodzaju pod względem tonu i nastroju, ale nastrój wypływa u Chryzostoma zawsze z właściwej potrzeby. Zwyczajnie w ogólnym toku umiarkowane słowa i myśli przetykane bywają nieraz silniejszym gestem lub gwałtowniejszym odruchem, gdy zaś potrzeba, to i surowością spotęgowaną w wysokim stopniu, z czego jednak kaznodzieja się tłumaczy. „Dlatego i ja surowiej mówiłem, aby zrobiwszy głębsze cięcie, od zgnilizny tych pijanic was oddalić i do czystego zdrowia duszy was przyprowadzić... tymczasem, abym się nie stał za przykrym, tu mowę zakończę, ale jeżeli w tych samych błędach trwać będziecie, to naostrzywszy nóż, głębszą jeszcze zadam ranę i nie pierwej przestanę, aż rozpędziwszy teatr szatański, oczyszczę zebranie w kościele“ [1]).

Poza przedstawionemi tu cechami stwierdzić można, że wszystkie homilje Chryzostoma tak pod względem układu jak i stylu są podobne do siebie. Doskonałość cech kaznodziejskich Chryzostoma trafnie określił ks. Szpaderski w książce „O zasadach wymowy kaznodziejskiej“ (1870 r.), tak charakteryzując mówcę: „Powoli trafia do rozumu, wciska się do serca, dopiero tak przygotowawszy sobie dalszy postęp, ciska pioruny, wylewa się z obfitością, jak wielka rzeka, nalega, pyta, dowodzi, sam przerywa mowę, idzie i powraca, rzuca jeden przedmiot, żeby drugi pochwycić, który mu zadaje jakieś niespodziane zdarzenie, przypomnienie nagłe, natchnienie chwili, wszędzie rozrzucając ze szczodrobliwością zasoby żywej i gorącej wyobraźni, opisy świetne, obrazy malownicze, porównania uderzające całą prawdą i mocą, zwroty pełne zapału i tego świętego zachwytu, jaki nieraz nawiedzał dusze proroków“.

Drugi nie mniej ważny dział kaznodziejstwa Chryzostoma to mowy, czyli, jakbyśmy dziś rzekli, kazania okolicznościowe lub przemówienia treści polemicznej i moralizatorskiej. Mają one inny układ niż homilje, bo odpada tu z natury rzeczy część egzegetyczna. Dla poznania charakterystycznych cech tej formy kaznodziejstwa Złotoustego, przypatrzmy się np. mowie pt. *Adversus Gentiles et Judaeos demonstratio, quod Christus*

---

[1]) Tamże.

sit Deus, ex iis, quae multis in locis de illo dicta sunt apud prophetas [1]).

Wydałoby się z tytułu, że ta mowa jest kompilacją z ksiąg proroków. Jednak kaznodzieja wyjaśnia raczej dogmatycznie pewne wersety z ksiąg proroków, dotyczące bóstwa Chrystusa Pana. Zaczyna więc od przepowiedni, odnoszących się do problemu bóstwa i człowieczeństwa Chrystusa (Baruch, Jeremjasz, Izajasz i inni). Dalsza część zawiera przepowiednie o przyjściu na świat Chrystusa (Dawid, Izajasz, Micheasz, Jeremjasz). Następuje potem piękny traktat o rozesłaniu Apostołów, w którym znajduje się wspaniały ustęp o wyższości św. Piotra i Pawła nad wszelkiemi władzami ziemskiemi. Idą dalej w porządku kolejnym przepowiednie upadku królestwa żydowskiego i te, które odnoszą się do sądu ostatecznego. Po tak głębokiem przygotowaniu rzeczy wypełnia mówca ostatnią część kazania już rozumowemi dowodami na bóstwo Chrystusa, wśród których znów znajdujemy przepiękne pytanie, dlaczego to krzyż stał się tak ukochanym dla chrześcijan symbolem. Wkońcu przytacza mówca przepowiednie samego Chrystusa, które najbardziej jego bóstwo i potęgę stwierdzają. *Aedificabo Ecclesiam meam et portae inferi non praevalebunt adversus eam.*

Wskazuje też Chryzostom przedziwne rozszerzenie się Ewangelji po całym świecie i stwierdza, że wszelkie walki przeciw chrystjanizmowi dokonywane przez różnych ziemskich władców nie zdołały obalić wiary św., co jest najwyższym dowodem boskości i wszechmocy Chrystusa. Syntezę zaś całej mowy streszcza w zdaniu: „Czemu nie myślisz o tem, gdyby Chrystus nie był Bogiem, w jakiby sposób jego czciciele dręczeni i wypędzani tak wzrośli! Ci zaś, co go ukrzyżowali i nienawidzili, tak ukarani zostali, że z całego państwa swego zostali wyrzuceni". Jest tu mowa oczywiście o Żydach.

W innej mowie, *De incomprehensibili Dei natura*, polemizuje kaznodzieja z niewiernymi o niepojętej tajemnicy Boga. W dość obszernym wstępie stara się udowodnić, że nie tylko Bóg, ale i słowa apostołów i proroków są niepojęte nieraz dla rozumu ludzkiego i że należy je brać jako sprawy Objawienia: *Ne substantia Dei tantum sed etiam sapientia eius prophetis incomprehensibilis.* Podobnie nawet *supernis virtutibus incom-*

---

[2]) Tytuły mów cytuję według patrologji Migne'a w tłum. łacińskiem.

prehensibilis est Deus. W II mowie występuje do walki z niewiernymi i poucza, że mowy przeciw nim są konieczne. Cała ta mowa ma charakter wybitnie polemiczny, ale przestrzega Chryzostom, że z herezją należy walczyć ostrożnie i umiarkowanie. Treścią III mowy jest szersze rozwinięcie tego, co sobie zastrzegł na początku traktatu, t. j. że Bóg jest niepojęty dla aniołów nawet, człowiek więc tem bardziej jego istoty pojąć nie może. Znajduje się tu kilka pięknych ustępów o mowie połączonej z modlitwą. Końcowy zaś rozdział, to obraz grzesznika zasługującego na karę i wezwanie do modlitwy, wedle zasady: *exhortationem oratio sequatur.* W mowie IV na szczególniejszą uwagę zasługuje figura, znana w retoryce pod nazwą gradatio. *Videsne quippe ipsum Job, postquam patientiae et virtutis corona redimitus est, ea quae amiserat non dupla aut triplicia seu centupla omnia recipies...*

Pięknie też określa mówca modlitwę: *magnum est enim telum oratio, thesaurus indeficiens, divitiae inexhaustae, portus fluctibus vacuus, occasio tranquillitatis, innumerabilium bonorum radix, fons et mater est oratio ipsoque regno potentior.* Potęguje ten wspaniały okres obrazem człowieka chorego, któremu nic już pomóc nie może ni bogactwo, ni żadna pomoc ludzka, tylko modlitwa ubogiego pociechę przynieść mu może. W zacytowanem określeniu modlitwy podziwiać trzeba zdolność nadawania różnych epitetów jednemu pojęciu, a tem samem zdolność rozszerzania jego zakresu jako też bogactwo wyobraźni i barwność stylu.

W traktacie *De sacerdotio*, składającym się z pięciu mów, a właściwie dialogów, roztrząsa obowiązki stanu kapłańskiego. Traktat ten przeznaczony jest tak dla nauki duchownych jak i innych wiernych. Wierni bowiem uczyć się mogą z niego poszanowania władzy i godności stanu kapłańskiego, duchowni zaś umocnić mają uświadomienie różnorakich swych obowiązków. Układ tych mów nie odbiega od zwykłej modły retoryckiej Chryzostoma. Uwagi godną jest technika mównicza, wyrażająca się w pięknych zwrotach i okresach. Nie pomija mówca i tutaj wartości dowodzenia pytaniami retoryckiemi: *unde nam Judaeos ...confudit, unde Hellenistas item prostravit? Quare Tarsum missum est? Nonne, quia vi verbi superabat et in tantum ipsos premebat, ut se victos esse non ferentes ad illius necem imflammarentur? Adversus eos, qui Antiochiae iudaisare aggrediebantur, quomodo dimicabat, disputabatque...*

Quid vero Thessalonicae et Corinthi, quid Ephesi et in ipsa Roma? Iam quid dixeris de illius disputationibus cum Epicureis et Stoicis? Nam si omnia recensere velimus, longius occurret oratio [1]). Jest tu mowa o św. Pawle, który dla Chryzostoma, jak to z innych mów wynika, był wzorem krasomówstwa.

Jak w homiljach tak i w mowach kwiecistość stylu łączy mówca z niezwykłą przystępnością i jasnością wykładu. Należałoby tu jednak podkreślić szczególnie piękny sposób zakończeń mów w formie krótkich a jędrnych zdań wykrzyknikowych, albo wywody polegające na dawaniu samych definicyj rzeczy. Przypatrzmy się np. określeniu rozkoszy w mowie *De ingluvie et ebrietate.*

„Wtedy jest rozkosz, kiedy jest użycie poprzedniego pożądania. Jeśli użycie nastąpi, znika pożądanie, znika rozkosz, „albo jeżeli okręt obciążony, topi się wówczas, jeśli ciało zanadto syte, także psuje się i ginie“ [2]).

Stosuje nieraz przykłady z życia zwierząt, by przeciwstawić powinności człowieka: „Niedźwiedzie bowiem i wilki, gdy już są syte, wstrzymują się od pokarmu, ci zaś (tj. skąpcy) nigdy nie mają dosyć“ [3]).

Gdzieindziej zaś operuje krótkiemi, ale doskonałemi zdaniami: *Dives es, non veto, praedo es, accuso, habes tua-fruere, aufers aliena, non taceo, vis me lapidare? paratus sum et sanguinem profundere.* Mówiliśmy już o zadziwiającej u Chryzostoma obfitości słów na wyrażenie jednego pojęcia. Na liczne przykłady tego zwrócił już uwagę Mecherzyński w swej Historji wymowy (tom II str. 114), cytując ustęp z Chryzostoma *(De cruce).* — I warto go przytoczyć, bo na nim można podziwiać szerokość pomysłów i bogactwo wyobraźni mówcy. Z nazw, jakie nadaje krzyżowi, dałoby się utworzyć prawdziwie długą litanję do świętego Krzyża. „Krzyż Pana Chrystusów, chrześcijańska nadzieja, umarłych zmartwychwstanie, przewodnik ślepych, podpora chromych, pociecha ubogich, munsztuk bogatych, uniżenie pysznych, męka złych, zwycięstwo mocy piekielnych, rządzenie młodych, ster żeglujących, port w niebezpieczeństwie będących, mur oblężonych, ojciec sierót, obrona wdów, rada sprawiedliwych, odpocznienie utrapionych, straż

1) De sacerdotio IV.
2) Tamże.
3) De avaritia.

maluczkich, oświecenie w ciemnościach będących, wielmożność królów, tarcza ubogich, mądrość prostych, wolność niewolników, filozofja cesarzów; krzyż ogłoszenie proroctw, przepowiadanie apostołów, chwała męczenników, umartwienie zakonników, czystość panienek, wesele kapłańskie. Krzyż fundament Kościoła, zgorszenie żydów, zguba złośliwych, męstwo stałych, lekarstwo łaknących, źródło pragnących i odzienie nagich".

Jak to już przedtem wykazano, Chryzostom dbał specjalnie o źródłowość swych kazań. Postępował według zasadniczych teoryj kaznodziejskich, które każą czerpać mówcy ze źródła religji objawionej, a więc z pism świętych, które są pierwszorzędnemi źródłami kaznodziejskiemi. Często Chryzostom określa w swych mowach nienaruszalność, świętość i wartość Pisma św.

CHRYZOSTOM W POLSCE.

Wiadomo nam, że w dawnej literaturze polskiej retoryka zajmowała na równi z poezją niepoślednie miejsce. Nie trzeba udowadniać, dlaczego szczególnie w epoce rozrastającego się u nas humanizmu sztuka mównicza, podobnie jak inne wzory klasycznej kultury piśmienniczej, święciła tryumfy, wynosząc na szczyty naśladowców Cycerona, Demostenesa i innych. Jeśli zaś humanizm czerpał w wymowie świeckiej z wiekopomnych starożytnych mówców wzory niedościgłe, to w zakresie wymowy religijnej naśladowano znów retorów początkowej ery chrześcijańskiej, którymi byli słynni Ojcowie Kościoła, jak św. Jan Złotousty, Augustyn, Cyprjan, Ambroży i inni. W tej dziedzinie św. Jan Złotousty, jeden z mistrzów *artis divinae*, jak nazywano wymowę, nie tylko dość rychło był znany w Polsce, lecz także wywarł niemały wpływ na naszych najcelniejszych kaznodziejów, jak Wujek, Skarga, Karnkowski, Białobrzeski i inni. Walory artystyczne dzieł Chryzostoma oceniono w Polsce już dość dawno, a znane były one szeroko już w początkach XVI w. w Polsce dzięki naszym humanistom, którzy wszystko co piękne do kraju przywozili. Zanim jednak dzieła Chryzostoma pojawiły się w Polsce, już mogli je znać nasi teologowie i kaznodzieje z wydań zagranicznych, a interpretowanych przez takich humanistów, jak Bernardus Brixianus lub Iohannes Oecolampadius, który to w liście do Mikołaja Vattenvil tak się wyraża o Chryzostomie: *Neque enim frustra nomen obtinuit Chryzostomi, aureus enim est aurei oris thesaurus, non auri*

ex Tago, sed ex fluminibus Paradisi et fontibus aquae vivae... Rozwodząc się dalej nad wymową jego, specjalnie zaś nad homiljami in Genesim, tak charakteryzuje ich walory: *Atqui non facile reperies aliquem, qui tam pure et aperte ac diligenter universam seriem enarret ut Chryzostomus*[1]).

Datą, która wskazuje pierwsze wydanie dzieł Chryzostoma w Polsce, jest rok 1528, bo wtedy oto ukazuje się w oficynie Szarfenberga *Libellus elegans, in quo confert verum monachum cum principibus, divitibus ac nobilibus non huius mundi Stanislao Hosio interprete.* Z tegoż roku pochodzi wydanie *De beato Philogonio deque digne sumenda Eucharistia concio Erazmi Rotterodami interprete.* Jan Cervus zaś w dziełku swem *Methodus Sacramentorum* umieszcza też *Quaedam orationes Iohannis Chryzostomi* w r. 1537. Nazwiska interpretatorów i tłumaczów tych dzieł, słynnych humanistów, mówią za siebie, jeśli chodzi o wartość faktury teologicznej i oratorskiej tych kazań. Udostępnił też Chryzostoma w Polsce Marcin Kromer, przywożąc z Włoch osiem jego mów. Dowiadujemy się o tem z przedmowy do Piotra Gamrata, umieszczonej przy mowie Chryzostoma *De divitiis et paupertate.* Pisze tam Kromer tak: *...cum nuper Bononiae essem, incidi in librum pervetustum a tineis et blattis vehementer corrosum, in quo erant complures orationes nusquam hactenus, quod sciam editae Iohannis Chryzostomi, magni et incorrupti theologi, longeque eloquentissimi, quippe qui ab orationis suavitate atque splendore oris aurei nomen adeptus sit. Descripsi aliquot integriores, ut hunc quasi thesaurum quendam maximum ex Italia decedens in patriam mecum reportarem et cum Polonis nostris aliquando communicarem.*

Kromer dokonał fragmentarycznego wyboru części mów, przekładając je z języka greckiego na łaciński i zręcznie je zestawiwszy, wydał każdą z osobna w Krakowie u Vietora w roku 1541. Są to mowy następujące: *De anima, De avaritia, De humanitate, De ingluvie et ebrietate, De divitiis et paupertate, De non contemnenda Ecclesia Dei et Mysteriis oratio, De adversa valetudine et medicis.* Z roku 1545 pochodzi wydanie dwóch mów p. t. *Orationes duae, De humilitate animi et De uxore et pulchritudine.* Wydanie powtórne tych

---

[1]) Bernardo Brixiano interprete opera Chryzosthomi nonnulla ad Petrum Barrocium, episcopum Patavinum, Pataviae 1503.

mów zebrane razem ukazało się w r. 1550 w Moguncji, dokonane przez Jana Chochleusza, kanonika wrocławskiego, bez tekstu greckiego. W roku 1579 w Poznaniu wydaje Kromer jeszcze: *Iohannis Chryzosthomi adversus Gentiles demonstratio, quod Christus sit Deus*. Warto zaznaczyć, że jedną z tych mów, mianowicie: *De divitiis et paupertate* poprzedza ciekawy epigram Klemensa Janickiego:

Pauperiem frustra laudas Chryzostoma, nostro
Tempore, quo solas vulgus adorat opes.
Diceris stolidus, diceris sordidus, uni
Vis homini famulos, qui satis esse duos.
Addere debueras alis praeeuntia longe
Agmina, equos, scurras, tympana, nabla, coquos [1]).

Taka była puścizna Chryzostoma przysporzona już w pierwszej połowie XVI stulecia w Polsce. Świadczy to o wielkiem zainteresowaniu mówcą, który w pochodzie lat, jakiemi kroczyła retoryka polska, stał się dla naszych oratorów wzorem niedoścignionym i ożywczym, zwłaszcza w zakresie kaznodziejstwa w epoce nawały reformacyjnej. Wtedy to kaznodzieje polscy, czerpiąc obficie z homilij i mów Złotoustego, wznieśli mównictwo religijne na szczyty doskonałości. A znaną jest rzeczą, jak wysokie mniemanie o wymowie mieli nasi kaznodzieje. Bez daru pięknego mówienia nie można było pomyśleć w dawnej Polsce ani męża stanu ani duchownego dostojnika. Toteż wpływy takie między innemi jak te, które szły z dzieł Chryzostoma na polskie kaznodziejstwo, tak pod względem formalnym jak i z uwagi na fakturę teologiczną, wyrobiły wielkie imiona temu kaznodziejstwu. Jeśli więc później jeden z takich znawców wymowy polskiej, jak Mecherzyński wyraził się, że „Wujek stworzył język, Skarga styl biblijny, Karnkowski teologicznym, Białobrzeski i Wereszczyński homilijnym mówili językiem", to stwierdzić też trzeba, że wszyscy ci kaznodzieje, czerpiąc obficie z Chryzostoma, od niego się tej trudnej sztuki mówienia uczyli. — I wtedy właśnie, kiedy polskiemu Kościołowi najwięcej to było potrzebne, w okresie reformacji, mówcy ci, którym przypadło w udziale ratować od zarazy heretyckiej religję przodków, mogli się oprzeć na gotowych już wzorach, bogatych i pewnych, na Piśmie św. i Oj-

[1]) Jest to zarazem krótka ale cięta satyra na bogaćzy, którym nie wystarcza mała liczba sług, lecz otaczają się całemi orszakami.

cach Kościoła. Z takiemi posiłkami szli do walki zwycięskiej. Wartość tych wpływów była więc dla Polski nieocenioną, bo wzbogacały one zarówno treść i formę wymowy naszej, przyodziewały ją w szaty nie obce duchem i wspaniałe.

I dziś jeszcze kaznodziejstwo z tych samych wzorów czerpać może tem więcej, że u Chryzostoma znaleźć można wykład całej nauki wiary św.

TWÓRCZOŚĆ W KAZNODZIEJSTWIE.

Ks. W. Kosiński, Radom.

Ciąg dalszy.

Wymowa w ostatecznem swem dążeniu i celu musi się podporządkować słynnej trylogji haseł: *flectere*, *placere*, *persuadere*.

Flectere odnosi się głównie do władzy umysłu; oznacza wysiłek, walkę, gdyż mówca rzeczywiście nie osiągnie swego celu, dopóki nie zwycięży, nie zatryumfuje nad umysłem słuchacza. To zwycięstwo nad umysłem słuchacza musi dokonać się zdecydowanie, śmiało, ale stopniowo, etapami, psychologicznie z poszanowaniem umysłu słuchacza; by mu się nie wydawało, że mu narzucono prawdę, lecz że sam do niej doszedł własnem swem rozumowaniem, że przedstawiona mu prawda jest oddawna jego ideałem.

Otóż to zdobywanie umysłu i przekonań naszych słuchaczy nie odbywa się tak łatwo i szybko; natrafia ono na różne szkopuły, uprzedzenia, zastarzałe nałogi, z któremi trudno słuchaczowi zerwać. Wśród słuchaczy naszych mamy natury sprzeczne, które lubią wszystkiemu zaprzeczać czy podawać w wątpliwość; natury lekkomyślne, u których myśl poważniejsza ani minuty nie może się ostać; natury z brakiem wszelkiego zainteresowania dla prawdy, o dziwnej bierności umysłowej.

Zwłaszcza mentalność, psychika człowieka współczesnego, zdeprawowanego fałszywemi założeniami naukowemi (u inteligencji i pseudointeligencji) czy też nienawiścią klasową i przewrotną agitacją (u pracowników fizycznych) ma takie nieżyczliwe „nastawienie“ względem prawdy Bożej.

Przeszkadza tu również brak wiedzy gruntownej, zasadniczej i znajomości naszej religji, mimo licznych może, ale ułamkowych, rozproszkowanych wiadomości, nie usystematyzowanych w głębokie przekonania religijne i światopogląd chrześcijański. Ubożuchny zapas wiedzy religijnej i filozofji, przecenianie swej wiedzy, zarozumiałość z tego powodu, dużo tupetu, fascynującej, błyskotliwej powodzi modnych powiedzeń i słów, a wewnątrz, w istocie ziejąca pustka, brak solidnego

fundamentu i kompletna ignorancja religijna. Jeśli dodamy do tego wygodnictwo, zmysłowość, zmaterjalizowanie, brak poczucia dla pierwiastka nadprzyrodzonego, to zrozumiemy, że taki duch laicki bynajmniej nie sprzyja słuchaniu Słowa Bożego.

Gdy misjonarze głoszą Ewangelję narodom zupełnie dzikim, muszą nieraz tworzyć nowy język. W głębiach duszy kaznodziei, który miłuje głoszone prawdy, który gotów za nie największe ofiary ponieść, tworzy się barwne, nabrzmiałe uczuciem słowo, które trafia wprost do duszy słuchacza i nieraz sprawuje cud nawrócenia.

I nasi słuchacze mają nieraz pogańską duszę, serce zakamieniałe, umysł pełen indolencji na prawdy Boże: twardy to grunt i oporny na siew słowa Bożego.

Teorja wymowy kaznodziejskiej zawsze to podkreśla, że prawość duszy kaznodziei, jego umiłowanie prawd Bożych i zapał dla nich, będąc niejako dominantą wszystkich jego wywodów, argumentów, zastosowań ostatecznych, najskuteczniej i najżyczliwiej odbija się w duszach naszych słuchaczy.

Stoicy uważali cnotę jako pewnego rodzaju niecierpiętliwość, bezruch i bezczucie; w takim razie dusza musiałaby być albo zimnym marmurem albo Bogiem — czyli świętokradztwo albo wierutne kłamstwo.

O ileż bardziej jest to zgodne z psychologją, bardziej po ludzku i zgodnie z prawdą, gdy Pan Jezus na górze Oliwnej pasuje się ze sobą w walce duchownej, gdy wyznaje, że dusza jego jest smutna aż do śmierci; jakże bliższym jest sercu naszemu ten P. Jezus, który doznaje wszelkich poruszeń duszy, jakie miotają każdym człowiekiem śmiertelnym, za wyjątkiem podniety grzechowej.

Bo i nasze serce nie pozostaje nigdy w spokoju, ciągle doznaje jakichś wzruszeń, do czegoś dąży, co mu odpowiada, od czegoś ucieka, co mu się nie podoba, przeżywa to, co nazywamy miłością i nienawiścią.

Filozofja chrześcijańska ze św. Tomaszem na czele wyróżnia kilka odmian tych dwu zasadniczych uczuć, zależnie od tego, czy przedmiot miłości lub nienawiści jest bliski czy daleki, czy łatwy do osiągnięcia czy nie; czy groźny, nieunikniony i t. p., a więc: miłość i nienawiść; pragnienie i wstręt; nadzieja i rozpacz; odwaga i strach; radość i smutek; gniew i zbliżona doń nienawiść.

W życiu, w praktyce te pasje, namiętności nie idą samotnie, ale dla ich poznania trzeba je rozpatrywać oddzielnie. Nauczymy się wtedy opisywać je, charakteryzować pięknie, obrazowo, wyraziście, wzbudzać je lub uciszać, podawać charakterystyczne pobudki czy środki zaradcze.

Miłość, w swej czystej postaci, w życiu praktycznem przejawia się jako czyn. Jest potężnym motorem, ciągle w ruchu, aktywnym. Przedmiotem jej — dobro osoby miłowanej, której oddaje się do rozporządzenia wszystko swoje, a nawet siebie: usługi, majątek, pomoc wszelką, wiedzę swoją, myśli swe, sekrety. Arcydziełem miłości jest oddanie siebie samego, jak to uczynił Zbawiciel.

Miłość odradza nas, budzi umysł, egzaltuje, posuwając się nieraz do zaślepienia, podwaja siły, tworzy zapał, który porywa się na rzeczy niemożliwe i zdobywa je; nie odczuwa utrudzenia, ciężaru, nie liczy się z pracą, wydatkami, opinją, własną korzyścią... *Amor onus non sentit, labores non reputat, plus affectat, quam volet, de impossibilitate non causatur, quia cuncta sibi posse et licere arbitratur*, mówi autor O naśladowaniu[1]).

Miłość niższa, *amor concupiscentiae*, skierowana do osoby lub rzeczy, jest interesowną; bardzo łatwo ją obudzić, jeżeli przedstawi się korzyści, usługi, jakie nam może oddać.

Miłość wyższa, *amor benevolentiae*, jest czystem upodobaniem w osobie czy rzeczy, absolutnie bezinteresowna, pragnąca połączenia się z przedmiotem czy osobą umiłowaną.

By tę miłość szlachetną obudzić, trzeba naprzód odwołać się do wdzięczności. To ostatnie uczucie niestety trudno wzbudzić, gdyż pycha żywota niezbyt lubuje się w zobowiązaniach, zależnościach; raczej dobroczyńca przywiązuje się do obdarowanego, jak to już Pan Jezus zauważył: *Beatius est magis dare quam accipere*[2]). Jest to największym bodaj czarem i urokiem serca ludzkiego, że ono więcej się przywiązuje, gdy świadczy ofiary, aniżeli gdy otrzymuje dobrodziejstwa.

Ale do obudzenia miłości trzeba czegoś bardziej stanowczego, nie tak chwiejnego jak wdzięczność, a jest to miłość wzajemna. Jeżeli chcesz, aby cię miłowano, musisz sam miłować, a więc okazywać co najmniej wielką życzliwość, wy-

---

1) Im. III, 5.
2) Dz. 20, 35.

kazać w pewnych okolicznościach i warunkach, coby zapowiadało, przygotowywało, zapoczątkowało tę miłość.

Ułatwia miłość podobieństwo, a zwłaszcza poczet zasług, przymiotów dodatnich, cnót danej osoby. Bardziej jeszcze sprzyja miłości współczucie dla osoby cierpiącej. Współczucie rodzi się z miłości, jak nawzajem rodzi miłość. Już samo w sobie cierpienie, niezależnie od swej przyczyny, wzrusza, jest piękne moralnie, jako wykazanie żywych, moralnych sił duszy, jej hartu, czy jako rodzaj świętej ekspiacji, zadośćuczynienia, zwłaszcza jeśli cierpi osoba niewinna.

Jeśli cierpienie jest zasłużone przez grzechy osobiste, to rozbraja ono zawziętość, budzi cześć, sympatję. Tem bardziej jeśli cierpi człowiek niewinny, mimo dobrodziejstw świadczonych, a nawet dla nich właśnie, jak to jest w Chrystusie Panu, to będzie ukoronowaniem wszelkiej cnoty i ma urok nieprzezwyciężony.

Ale to uczucie kaznodzieja musi rozwijać przed duszą słuchaczy bardzo subtelnie i delikatnie, zarazem jasno, przystępnie dla natur nieco przytwardych i nieczułych; dobrze tu robi kontrast ze szczęściem ich dawniejszem albo u innych ludzi. A to współczucie niech nie urazi godności cierpiącego, niech nie będzie tylko jałmużną litości. Cierpienie jest piękne, pod warunkiem, że zdobi duszę. Miłość tedy budzi: współczucie, cześć, uznanie, sympatję z racji podobieństwa, przymiotów, cnót.

Przeciwieństwem miłości jest nienawiść, która odżegnuje się, unika człowieka nielubianego. Łączy się z nią gniew. Gniew to nienawiść gwałtowna, jej wybuch. Działa nienawiść na umysł: wyolbrzymia, co złe, ukrywa, neguje, co dobre, w osobie nienawidzonej. Stąd ciągłe podejrzenia, złośliwości, intrygi, co ogromnie zatruwa atmosferę stosunków wzajemnych. Nienawiść zamyka oczy na dodatnie przymioty i cnoty nienawidzonego, a jest dziwnie pomysłowa, przewrotna w dopatrywaniu się i wyszukiwaniu stron ujemnych. Tak np. przedstawia się sprawa z wrogami Kościoła, którzy węszą wszystko złe w instytucjach, wydarzeniach, osobach, książkach kościelnych. Ileż nieraz w tych zarzutach nieprzyjaciół Kościoła wyrafinowanej złośliwości, przewrotności, ile wprost piekielnego jasnowidzenia, by wykryć słaby punkt. Ale ma to i dodatnią swoją stronę. Co nieprzyjaciel prawdy chwali,

musi być dla nas podejrzane, co zwalcza i atakuje, musi być dla nas sympatyczne.

Działając na umysł, działa nienawiść równocześnie na serce. Serce (oczywiście zepsute) rozkochuje się w niej, strzeże zazdrośnie jako swego skarbu. Czemu tak? Zapewne dlatego, że miłość własna znajduje w niej dużo satysfakcji i jakoby zaczątek zemsty. Właśnie arcydziełem etyki chrześcijańskiej jest darowanie winy bez żadnej myśli ubocznej, darowanie z serca, słowem ofiara z nienawiści.

Nienawiść bywa namiętnością wybuchową, gwałtowną, albo zimną, ukrytą, zamaskowaną, ale troskliwie pielęgnowaną i podsycaną w głębi duszy. Zdradza się ona w oczach uważnego obserwatora subtelną ironją, błyskiem oczu, zmarszczeniem brwi zaledwie dostrzegalnem, syknięciem wprost niedosłyszalnem; u innych maską nieprzenikniętą, nietroszczeniem się o los, żartem, uśmieszkiem, natrząsaniem się, furją i wściekłością.

Nienawiść rozrasta się, jeśli się jej nie zwalcza w sercu; pozorny pierwotny spokój przechodzi w uszczypliwe słówka, ironję, drażnienie przeciwnika, a zarazem wmawianie w siebie, że się tu nie dzieje żadna krzywda.

Ta tajona nienawiść bywa najczęściej tylko dobrze udawaną i maskowaną pozą, która nie da się utrzymać dłużej i wybucha gniewem. Jaka wtedy obfitość obelg, jak soczyste przekleństwa, jak nieraz słowa toczą się bez wyboru niby kaskada, a naraz zatnie się zagniewany, nie może dobrać słów odpowiednio złośliwych i albo się powtarza, albo wygaduje nonsensy i nielogiczności, aby tylko ulżyć swej nagromadzonej w duszy nienawiści.

Ta potrzeba wylania swej nienawiści jest tak wielka, że w braku winowajcy wylewa się ją na nieobecnego, na urojone wyobrażenie, na tłuczenie szyb, naczyń, niszczenie mebli i t. p.

Jak można obudzić nienawiść, jak się od niej bronić, jak ją można uciszyć? — Z natury swej nienawidzą ludzie tych, którzy im przeszkadzają w interesach, tych, którzy okazują nienawiść, a najbardziej tych, którzy ich upokarzają; upokarzają przez pogardę, a zwłaszcza gdy gardzą ich miłością.

Przeczulona miłość własna podejrzewa tysiączne rodzaje ubocznych upokorzeń: Wyższość moralną przeciwnika, jego wspaniałomyślność, cnoty, zasługi: *Virtutem incolumem odi-*

mus, mówi Horacy. Ciekawe też psychologicznie, że nienawidzi się tych, których się obraziło, którym się wyrządziło krzywdę. Ciekawe również, że nigdy nie cierpimy tyle prześladowań, przykrości, szykan za złe nasze czyny, ile właśnie za dobre. Ilekolwiek razy chce się coś dobrego robić, to rzuca mu się pod nogi kłody, prześladuje, krytykuje, i to nieraz czynniki miarodajne. Świat nie lubi, by go przewyższać umysłem i sercem, gotów ścinać, jak Neron, głowy, które wznoszą sie wyżej ponad tłum. Pycha bowiem ma tylko dwa wyjścia: albo się upokorzyć, uznać wyższość przeciwnika, albo go zmaltretować, ośmieszyć, unieszkodliwić, a ma po temu tysiączne złośliwe sposoby i środeczki.

Jak zwalczać to uczucie tak szkodliwe, jak je uciszać? Możliwie nie dopuszczać do mowy, reminiscencyj, bo to jeszcze bardziej rozbujałoby tę namiętność. Zachować możliwie dużo zimnej krwi. Gdy przejdzie uniesienie, zaczyna się rola mowy szlachetna i delikatna. Trzeba się zwrócić naprzód do rozumu, rozproszyć uprzedzenia, wykazać całą niedorzeczność, niesprawiedliwość, a nawet szkodliwość i głupotę nienawiści. A potem zwrócić się do serca, do motywów religijnych. Arcydziełem wymowy kościelnej są np. homilje św. Jana Chryzostoma: O posągach. Kiedy w Antjochji rozagitowany i wzburzony tłum zdemolował posągi cesarskie, za co groziła straszna odpowiedzialność, lud oprzytomniawszy, zgromadził się w świątyni, tutaj szukajac ratunku przed zemstą imperatora. Biskup Flawjan wyjechał do Konstantynopola, by błagać go o przebaczenie. Tymczasem zaś św. Jan Chryzostom pocieszał lud przez kilkanaście dni, poczynając od przedstawienia uczuć rozpaczy i ostatecznego przygnębienia, przechodząc stopniowo do rezygnacji, świtającej nadziei, że przecież cesarz jest człowiekiem, chrześcijaninem, że da się ubłagać, przedstawił obrazowo orędownictwo Flawjana biskupa, jego wzruszające argumenty wobec cesarza, aby w końcu przejść do radosnego tryumfu na wieść o całkowitem przebaczeniu.

Krócej po omówieniu tych głównych namiętności rozprawimy się z drugorzędnemi. — Pragnienie i wstręt to praktyczny, czynny wysiłek w stosunku do przedmiotu. Pierwsze to miłość nieobecnego, drugie to nienawiść do grożącego zła. Oba uczucia silnie wpływają na wyobraźnię. Wstręt zaciemnia odnośny przedmiot; to punkt ciemny, który pomału ogarnia cały horyzont jak ciemne chmury. Pragnienie przeciwnie

złoci i prześwietla przedmiot upragniony, gotując przykre niespodzianki. Bo co piękne i ponętne zdaleka, często zbliska przynosi gorzki zawód i rozgoryczenie.

Z punktu widzenia wychowawczego i kaznodziejskiego traktujemy pragnienie i wstręt podobnie jak miłość i nienawiść. Aby je uciszyć, należy wpływać na rozigraną wyobraźnię i przedmiot upragniony czy wstrętny oświetlić z punktu prawdy i rzeczywistości. Ale bardzo to trzeba czynić subtelnie. Gdyby np. pragnieniu przeciwstawić się zbyt twardo, toby się je ogromnie wzmocniło; stworzyło je tam, gdzie go nie było. Owoc zakazany czy ganiony akurat najwięcej smakuje.

Odwaga to ukochanie dobra, które trudno osiągnąć, zdobyć, stąd wysiłek, by przełamać te przeszkody. Jest to miłość silna, pasja najbardziej szlachetna. Człowiek, jego charakter jest tyle wart, ile jest w nim odwagi; odwaga to synonim czuwania i osobistego waloru.

Jak inne pasje, namiętności, również i odwaga rozpala imaginację, która pomniejsza trudności, przeszkody, a cel okazuje łatwym do osiągnięcia. Musi tedy umysł kontrolować wyobraźnię, by nie było zlekceważenia istotnego niebezpieczeństwa, lekkomyślności w radach i czynach. Nigdy nie można zgóry przesądzać o człowieku, jak daleko zaprowadzi go odwaga, ale zawsze najlepszą gwarantką odwagi jest skromność.

Prawdziwa odwaga głęboka, zreflektowana, skromna potrafi wycisnąć z woli źródła, środki i siły nadzwyczajne, możnaby powiedzieć, że je tworzy. Odwaga jako ufność w Bogu jest zawsze skromną w sobie, a jest przez to pierwszorzędną siłą moralną człowieka wierzącego. Sprawdza się na nim słynne powiedzenie: *Possunt, quia posse videntur.*

Odwaga to miłość i pragnienie; jeżeli te dwa uczucia będziemy budzić w naszych słuchaczach, to zrodzimy w nich odwagę. Pokażmy możność osiągnięcia celu, zmniejszajmy, ale umiarkowanie, siłę przeszkód i trudności, by odwaga nie uległa złudzeniom. Powołajmy się na emulację, tę szlachetną aktywność, dążącą do zrównania się i do przewyższenia innych. Ale czuwajmy, by emulacja, współubieganie się, nie zwyrodniały w płaską małostkową zazdrość. Emulacja dąży do tego, by stanąć na wyżynach przeciwnika, zazdrość — by go strącić, zniżyć do poziomu naszego. Emulacja może być za-

czątkiem, punktem wyjścia wielu szlachetnych poczynań, zazdrość może strącić w otchłań wielu występków. Św. Augustyn wyrzuca sobie słabość, brak odwagi, tak że zawstydzają go dzieci i kobiety, powiada tedy: *Tu non poteris, quod isti et istae?* Wedle pisarzy ascetycznych cała doskonałość chrześcijańska polega na naśladowaniu Boga samego, Jezusa Chrystusa, jakby na rywalizacji i emulacji. Emulacja to jedyny rodzaj miłości własnej uprawniony i szlachetny, bo mobilizuje nasze siły duchowe ku osiągnięciu czegoś wyższego.

Emulację, odwagę może paraliżować obawa załamania się, skompromitowania, może więc powstać rozpacz, gdy widzi sytuację bez wyjścia.

Odwaga jest z natury swej zaraźliwa, podobnie zresztą jak i lęk. Okazując odwagę przez swą postawę, minę, gest zdecydowany, silny głos, zimną krew, możemy tchnąć odwagę w cały tłum. Przeciwnie: niezdecydowane spojrzenie, postawa złamana, głos lękliwy, cichy, melancholijny, zamyślony, wątpiący, odbiera odwagę słuchaczom.

Odwagi nie zreflektowanej, bez namysłu, nie będziemy zwalczali wprost. Byłoby to niebezpieczne i niepotrzebne. Pochwalimy to, co w niej jest dobrego, a gdy napięcie egzaltacji przejdzie, wtedy rzeczowo, sprawiedliwie wykażemy stan rzeczy, nie urażając miłości własnej, nie tryumfując ani potępiając owej niedojrzałej odwagi.

Trudniej jest opanować lęk. Strach to nienawiść do zła nieobecnego, ale grożącego i możliwego. Uczucie to naturalne, nie zawiera nic złego, o ile jest kierowane rozumem i odnosi się do przedmiotu konkretnego. Bojaźń jest zaburzeniem w nerwach, rodzajem choroby nerwów, nieraz z przebiegiem ostrym. Można ją leczyć przez opanowanie się, nie można jednak przeszkodzić jej wybuchowi, jej powstaniu.

Strach działa na duszę na podobieństwo mrozu i zabija życie. Dusza w strachu jest ściśnioną, na pół martwą, nieruchliwą, niezdolną sobie radzić ani powziąć decyzji, jest jakby sparaliżowaną. Strach działa na wyobraźnię, wyolbrzymia niebezpieczeństwo, zabija rozsądek, wyrodnieje, staje się rodzajem obłąkania. Nie znając konkretnie, w całej rozciągłości przedmiotu strachu, wyobraźnia nie stara się spokojnie, rozumowo przyjrzeć mu się, lecz tworzy urojenia. Strach jest prawdziwem cierpieniem, bólem. Stąd tysiące bezcelowych, nieroztropnych usiłowań, by się ukryć przed nim, przysłowiowa polityka

strusia. Ten szkodliwy, bolesny instynkt, za wszelką cenę pragnąc uniknąć tego, co mu zagraża, chce o tem przedewszystkiem nie wiedzieć, lubi, by wmawiano w niego, że tego wcale niemasz.

Strach jest nadzwyczaj zaraźliwy, udziela się otoczeniu. Wtedy zanikają szlschetne strony duszy ludzkiej, człowiek staje się samolubem. Taki strach z powodu zarazy opisuje np. Manzoni w Narzeczonych w Medjolanie, w XVI wieku; takim nierozsądnym strachem przepojone było społeczeństwo angielskie w XVII w. wobec niebezpieczeństwa powrotu „papistów“ — stąd tak krwawe prześladowania katolików. U nas w Polsce był taki strach wielki przed Tatarami w średnich wiekach.

W wymowie kaznodziejskiej rzadko używamy tego środka, budzenia strachu: jest to środek zbyt silny, brutalny nawet, może wywołać skutki niepożądane. Czasem jednak, gdy zło grożące jest wielkie, wykroczenia zbyt zakorzenione, niebezpieczne, działa na natury grubsze dobrze. Tak czynił nasz Skarga, gdy w Kazaniach Sejmowych przedstawił wstrząsający obraz, wizję rozbiorów Ojczyzny naszej i jej niewoli u sąsiadów. Tak postąpił Massillon, gdy w kazaniu o Sądzie ostatecznym po odpowiedniem przygotowaniu słuchaczy i wzbudzeniu nastroju grozy, silnym głosem zawołał: „Odstąpcie odemnie, grzesznicy, w ogień wieczny“, wtedy w kościele wśród przerażenia, jęku i płaczu część wiernych, (uważających się za potępionych), oddzieliła się od reszty, tworząc linję przedziału.

Dobro nieobecne stwarza w duszy uczucie pragnienia. Jeśli jest ono uważane za osiągalne, rodzi nadzieję; jest to uczucie miłe, podnoszące na duchu, ożywiające; jest to uczucie złożone, skomplikowane: mieści się tu i odwaga i radość i spokój i pewność siebie, ale nieraz w swym zapale pełne chimer i zamroczenia; bierze często prawdę za fałsz, a fałsz za prawdę, łudzi się przyjemnościami, które nie mogą się ziścić, marzy... Wyraża się stylem radosnym, wielomównym, błyskotliwym, przesadnym, pompatycznym. Jako radość jest ono miłe sercu, ale bardzo w tem ziemskiem bytowaniu niepewne, zmienne, nierealne. *Spe gaudentes* św. Pawła [1]) odnosi się do życia przyszłego.

---

[1]) Rz. 12, 12.

Uczucie to jest pełne sprzeczności: swawolne i zmienne jak radość, a uparte i stałe jak pragnienie; mały podmuch może je zgasić, a wielki huragan nie potrafi go złamać. Tysiąc razy zawiedzie duszę, ale ona i tak nadziei się nie wyrzeka i tak aż do grobowej deski. Stracić nadzieję, to najstraszliwsza klęska życiowa: *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate:* Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wstępujecie, umieszcza taki napis Dante na progu piekła.

Aby nadzieję utrzymać w sercu, nie wystarczyłoby wprost wyliczać racje, motywy ku niej. Lepiej pójść drogą odwrotną, ale pewniejszą: obudzić miłość, pragnienie, odwagę, a nadzieja sama się zjawi. Jest ona równie zaraźliwą jak odwaga, a najlepiej szczepi ją w sercach słuchaczy sam kaznodzieja, jeśli jego serce jest przepełnione nadzieją.

Jakże łatwiej ją zachwiać. Człowiek pełen nadziei żąda niejako, by wszystko, co go otacza, utwierdzało w nim tę nadzieję, by mu dodawało odwagi, by jednako z nim zapatrywało się w tej sprawie. Jeśli okażemy mu najmniejsze wątpliwości, uśmiech politowania, czy gest zaprzeczenia głową, to wystarczy, by go oblać zimną wodą, nadzieja się chwieje i upada.

Ale niekoniecznie przeciwieństwem nadziei ma być zaraz rozpacz. Gdy dobro spodziewane wymyka nam się, gdy nam wszystkiego brak ku jego osiągnięciu, nadzieja ma niejako dwa oblicza różne. Może być smutna niewymownie, jako miłość do przedmiotu, którego osiągnąć niepodobna, jako miłość upokorzona, podeptana, zawiedziona. Ale oczywiście może stopniowo zawód w nadziei przejść w rozpacz, jako nienawiść do przeszkody utrudniającej osiągnięcie dobra. Wogóle rozpacz to paroksyzm wszelkich nienawiści: bólu, gniewu, gwałtu, wstrętu do siebie, terroru, wyrzutów sumienia, co może dojść aż do konwulsyj i delirjum.

Jasnem tedy jest, że gdy wypadnie zwalczać nadzieje złudne, nie trzeba nigdy popychać bliźniego aż do rozpaczy, czy nawet odebrania mu wszelkiej odwagi. Roztropność, odwaga, przychylność, miłosierdzie okazane, może tracącego nadzieję narazie przygnębić, zasmucić, ale wyjdzie mu na dobre, i do rozpaczy go nie popchnie. Być wzgardzonym, znienawidzonym, bez żadnej ostoi, ucieczki, oto przyczyny rozpaczy. Ale okazać takiemu trochę poszanowania, sympatji, gorącego

współczucia, a dusza przygnębiona, w ucisku, w rozpaczy, zdobywa lepsze samopoczucie, wiarę w siebie i w Boga.

Widzieliśmy dotąd miłość i nienawiść w przeróżnych odcieniach i ukształtowaniaah, wedle swego stosunku do przedmiotu; jest to jakby dynamika tych dwu uczuć. Mogą one się ustabilizować na dwu uczuciach przeciwnych: na radości i smutku.

Radość jest umiłowaniem przedmiotu obecnego, miłość zadowolona, skąd pochodzi czynny spokój i przyjemny. Jest to wstrząs duszy miły i ustabilizowanie się w tym stanie. Radość powinnaby być stanem normalnym duszy, ale niestety wskutek grzechu pierworodnego nie jest to stan zwykły duszy. Szczęście, dla którego człowiek został stworzony, zdobywa za cenę wyrzeczenia się, wysiłku, ograniczenia się, ofiary. Jest to również uczucie złożone, jak zresztą i inne uczucia; wchodzi tu pierwiastek pokoju jako normalny stan szczęścia, i aktywność, działanie ożywione jako odpowiednik nagłości i zaskoczenia tego uczucia, i przywiązanie woli do nowego przedmiotu, by go objąć energicznie w posiadanie na stałe. Radość jest doskonałem i bardzo przyjemnem połączeniem dwu przeciwnych pojęć: pokoju i działania. Ziemia i to, co ziemskie, najbardziej odczuwają brak pokoju: ciągła tu gorączka i ruch. A przeciwnie im radość bardziej czysta, święta, bliska łączności z Bogiem, tem więcej jest cicha, jasna, spokojna; asceci twierdzą, że pokój wewnętrzny to najbardziej przekonywujący dowód działania Bożego na duszę. Na tym szczęśliwym pokoju polega też szczęście w niebie, jak o tem mówi św. Augustyn: *Ibi vacabimus et amabimus; amabimus et laudabimus. Ecce quod erit in fine sine fine* [1]).

Co do radości światowej, to jest ona często hałaśliwa i zmącona często, rzutka i ruchliwa aż do zbytku i do niebezpieczeństwa. Dusza w radości niejako nabrzmiewa, rozszerza się, ale to nie odbywa się bez pewnych błędów. A więc podnieca odwagę nieroztropną, która kończy się brawurą, szałem i klęską; ufność doprowadza do szalonej pychy. Ona czyni łatwowiernymi, a nawet zaślepia. Wprawdzie radość nie rodzi się z pychy, ale często ją rodzi. Słowem radość bywa nieraz niebezpieczną. Bezsprzecznie jest ona siłą duszy, ale nieraz staje się jej słabością. Uczucie to rozstraja nas, rozwalnia

---

1) De civ. Dei XXII, 30.5.

i rozmiękcza, ponosi na oślep, trudne do utrzymania. Promienieje ono w mowie, którą czyni tryskającą, żywą, wesołą, ozdobną, pompatyczną. Niestety radość zwykle trwa krótko, jest niestałą i rychło wyradza się w smutek.

Traktowanie radości z punktu widzenia wychowawczo-katolickiego jest rzeczą względnie łatwą. Chodzi tylko, by radość fałszywą i zbytnią prostować i miarkować. Trudniej, gdy radość się skończy, a zacznie smutek; natura bowiem ludzka dotkliwiej odczuwa smutek bezpośrednio po radości. Powiada Dante, że największe nieszczęście dla człowieka rozpamiętywać w nieszczęściu swoje dni szczęśliwe.

Smutek to najbardziej interesujące uczucie i bodaj najbardziej płodne dla sił duchowych. Odsłania ono najbardziej wewnętrzne, intymne głębie duszy. Dla człowieka upadłego, ale powracającego do Boga, cierpienie, smutek jest funkcją pierwszorzędną, czasem radością, zawsze lekarstwem, ostoją i honorem.

Smutek, podobnie jak inne uczucia, tylko że tu wyraźniej to dostrzegamy, ma trzy etapy naturalne. Pierwszy, gdy pod uderzeniem losu następuje w duszy bolesne ogłuszenie, jakby uderzenie piorunem. Człowiek jakby oślepiony, bez czucia, wyobraźnia sparaliżowana, umysł nie chce wierzyć. Czasem wprawdzie umysł zdobywa się na olbrzymi wysiłek by przypomnieć sobie cały przebieg okoliczności i wypadków, aby jeszcze powątpiewać o nieszczęściu, aby je w zaczątku stłumić. Nie umie, nie ma sił, by zaprotestować przeciwko faktowi lub go zmienić. Instynkt broni się i ucieka przed nieszczęściem, miłość własna odpycha je jako upokorzenie. Ale to odbywa się w milczeniu. Dusza ogłuszona uderzeniem losu zaczyna powoli uświadamiać sobie, poznawać w ogólnych zarysach, pod wpływem twardej rzeczywistości. Jest to chwila najdotkliwszego cierpienia, godzina krytyczna, punkt kulminacyjny odczuwania. Powiedzenie, że prawdziwa, wielka boleść jest niema, ma głębokie uzasadnienie psychologiczne.

Gdy kryzys cierpienia zaczyna się przesilać, zjawiają się łzy, płacz gorzki, wyraz boleści w całej postawie (rzeźba Pietà) w formie najszlachetniejszej. Pod wpływem stanu duszy zjawia się słowo, ale jakże uszlachetnione, odruchowe, improwizowane, ale jakże nieraz mądre, głębokie, ofiarne, wymowne, choć bez żadnych ozdób retorycznych, proste, zwięzłe, bez wielomówstwa.

Pod wpływem dalszych rozważań, po tym pierwszym objawie bólu, zaczyna się niekiedy przesadne biadolenie: myśmy tylko tak nieszczęśliwi, nikogo to nie spotkało, tylko nas właśnie. Tem cierpiący szczyci się niejako, uważa się za wyższego od innych. Cierpienie w tem stadjum każe zapominać o wszystkiem innem, o całym świecie.

W dalszym etapie, przysłaniając wszystko czarną zasłoną, zniechęca do wszystkiego. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Wszystkie władze duszy podobnie nastrojone pracują gorączkowo w jednym kierunku. Wtedy bardzo trudno byłoby pocieszyć zasmuconego.

Ale niebawem następuje zacząteк reakcji. Zasmucony zaczyna szukać pocieszenia zewnątrz siebie, u bliźnich, sympatyzujących z nim, albo w kierunku Boga, w modlitwie. Nieraz wtedy następuje nawrócenie do Boga (jak nasz ks. K. Antoniewicz po śmierci swej żony i dzieci wstępuje do Towarzystwa Jezusowego). W modlitwie też szukał ukojenia Zbawiciel nasz w ogrodzie Oliwnym.

Ostre napięcie smutku nie może trwać długo. Powiada św. Bernard: *Dolor continuus et acerbus diuturnus esse non patitur. Nam si non aliunde extunditur, necesse est, ut cedat vel sibi.* Zwykle więc po gorączce, po przygnębieniu wielkiem, po bólu ostrym, następuje ból tępy, względnie spokojny, słabszy...

W trzecim etapie smutek powoli rozprasza się, zanika, idzie w zapomnienie. Inaczej jednak w każdej duszy, przynajmniej inaczej w duszach szlachetnych, zahartowanych, urobionych, a inaczej w duszach pospolitych. Cierpienie i smutek są ogniem próby dla duszy; wtedy najlepiej uwydatnia się moralna wartość i wielkość człowieka. W pierwszym i drugim etapie cierpienia i smutku, przebieg, proces duchowy mniejwięcej bywa jednaki u wszystkich ludzi; w trzecim etapie następuje zróżniczkowanie: pokazuje się wtedy, jakim jest ten człowiek, co on wart, czy umie czy nie umie cierpieć.

Na tym trzecim stopniu budzi się egoizm, nieraz nieczułość i twardość na cierpienia innych, zazdrość, gniew, że inni nie cierpią, lecz cieszą się. Usiłuje zasmucony zapomnieć o swym smutku, rozerwać się, uciec od miejsca i śladów przypominających mu stratę, nieraz wyjeżdża w podróż daleką. Czasem zaś zamyka się, stroni od ludzi, oddaje się marzeniom i pomału ulega melancholji. Ale przy lada okoliczności, nie-

obliczalnie wpada w podniecenie i wtedy wybucha stekiem żalów bez umiarkowania i zachowania godności.

Dusza szlachetna również ulega niekiedy słabości natury ludzkiej. Więc np. zamyka swą duszę, broni przystępu do niej ale nie jest to egoizm. Jest on mimo wszystko czuły na cierpienia innych. Owszem trzeba powiedzieć, że odczucia cierpień innych nie można się spodziewać od człowieka, który sam nie przeszedł przez szkołę cierpienia. Św. Paweł tę zasadę stosuje nawet do Zbawiciela: *Debuit per omnia fratribus similari, ut misericors fieret* [1]).

Otóż człowiek urobiony, w tem stadjum cierpienia i smutku, skupia się w sobie, koncentruje uwagę, nie szuka rozerwania, rozproszenia. Miłuje swe cierpienie, aplikuje się do niego, dopasowuje niejako plan całego życia, przywiązuje się doń, strzeże go zazdrośnie jak skarbu przed oczyma tłumu, jest mu wierny. Bo cierpienie jest właśnie jego umiłowaniem, zajmuje niejako miejsce przedmiotu utraconego, to jakby właśnie ten sam przedmiot jego miłości, żyjący w tej nowej formie, a wyrzec się cierpienia byłoby wyrzec się powtórnie ukochanego przedmiotu.

Ale to przywiązanie do smutku, wierność dla niego może wyrodzić się w skrajny egoizm, znajdowanie pewnego zadowolenia w cierpieniu, byłoby to niezdrowe, cechą słabej, małej duszy. Powiada św. Franciszek Salezy: *En somme il faut donner passage aux afflictions dedans nos coeurs, mais il ne faut pas leur permettre d'y sejourner* [2]).

Wiara, rezygnacja chrześcijańska wznosi się ponad cierpienie na wyżyny niedościgłe, oczyszczając, uświęcając i wyszlachetniając uczucia złamane. W życiorysach wielkich ludzi, a zwłaszcza świętych, możemy dokładnie śledzić cały ten proces cierpienia. Po mistrzowsku, psychologicznie przedstawił ten proces cierpienia moralnego nasz Kochanowski w Trenach, gdzie poczynając od uderzenia ciosu, śmierci Urszulki, ból ojca wzrasta do bluźnierstwa, zwątpień w wierze, a potem powoli przechodzi do rezygnacji.

Słówko jeszcze o wzniosłej sztuce pocieszania, wielkiego przywileju kapłana w konfesjonale i na ambonie. Duch Św., nazwany Pocieszycielem, powiada: *Non desis plorantibus in*

---

1) Żyd. 2, 17.
2) Lettres spirit.

consolatione[1]). Jest to rzecz niełatwa i nie zawsze skuteczna. W pierwszej fazie strapienia najlepiej dążyć tylko do przyspieszenia kryzysu. Natury silne są skłonne do zamykania się w sobie, do samowyniszczania się w czarnej rozpaczy. Trzeba je z tego wyrwać, dążyć, by je rozczulić i pobudzić do płaczu przez współczucie, przez przyznanie im, że rzeczywiście cierpią dotkliwie. Powiada św. Grzegorz z Nazjanzu: „Udziel nieszczęśliwemu współczucia jako hojnej jałmużny. Jeśli nie masz sam nic, daj mu swe łzy. Współczucie twe dla nieszczęśliwego będzie potężnem ukojeniem dla niego“.

Trudno szczegółowo omawiać, jak pocieszać? bo zasad ogólnych tu podać nie można. Jednego przestrzegać należy w pocieszaniu chrześcijańskiem: nie zlekceważyć cierpienia ani go nie usypiać. Wskazać na cele wyższe, jakie ma problem cierpienia, na jego dodatnie działanie w duszy, jej wyszlachetnienie przez smutek; ostrożnie, by nie zadrasnąć miłości własnej, wskazać na ekspjację przez cierpienie.

Ostatnią pasją jest wstyd. Jest to uczucie skomplikowane: przedewszystkiem mamy tu nienawiść, ból, lęk, nieśmiałość; prowadzą one do żalu albo do rozpaczy. Uczucie to bardziej dręczy wobec tych, których więcej kochamy, których sobie cenimy, ale wobec nieprzyjaciół niemile odczuwamy wstyd, bo wyrzec się trzeba swej wyższości.

Powstaje to uczucie na skutek pogardy doznanej albo spodziewanej. Rumieni się człowiek z racji wykroczenia, przewinienia, wady, zła moralnego, i to jest słuszne, ale wstydzi się również ubóstwa, kalectwa, czy innych braków fizycznych, co jest małostkowe, choć często podświadome i trudne do zwalczenia. Wstyd, jako ochrona niewinności i jako preludjum do żalu i lepszego postanowienia jest uczuciem szlachetnem i należy je troskliwie pielęgnować. Jest on zaczątkiem wielu nawróceń. Przydługo, ale zarazem pobieżnie rozważaliśmy te 9 głównych uczuć, jakie miotają sercem ludzkiem. Poznając je dokładniej, zdobywamy potężne możliwości oddziaływania na słuchaczy. Będzie to zarazem pierwiastek twórczy w naszych kazaniach[2]).

1) Eco. 7, 38.

2) Por. Longhaye, Théorie des belles lettres.

AMBONA i ŻYCIE.

O POLSKĄ UNJĘ MISJONARSKĄ W AMERYCE.

Ks. Marjan Wiśniewski, M. I. C.

Piszę otwarcie, bez owijania w bawełnę, bo kością w gardle stanęły nam już różne niedomówienia i dyplomacja. „Bóg nie potrzebuje naszych kłamstw!“ — powiedział wielki Leon XIII, „ani bojaźliwego ukrywania prawdy“ — moglibyśmy jeszcze dodać sami.

Wiem, że dotykam sprawy drażliwej i może mniej od innych posiadam prawa do zabierania w niej głosu. Nie mogę jednak milczeć, bo groza czasów i zbliżająca się burza na to nie pozwala. Niech każdy czyni co może, aby zapobiec nieszczęściu i przyczynić się do zwycięstwa sprawy Bożej.

Od czasów Piusa X rozlega się w kościele potężne i zbawcze hasło: „Odnowić wszystko w Chrystusie!“ Do wprowadzenia w życie tego hasła powołane są w pierwszym rzędzie wyborowe oddziały armji Chrystusowej — zakony. Dzieje Kościoła świadczą, że zakony były zawsze prawem ramieniem Kościoła, najsilniejszą ostoją wiary i ogniskami wielkich reform religijnych. Biada narodowi, w którym nawet te ogniska wygasają. Niemcy Lutra i Anglja Henryka VIII są tego przerażającym dowodem. Przeciwnie, gdzie życie zakonne kwitnie i promieniuje duchem Ewangelji, tam nawet upadłe narody dźwigają się i odzyskują życie Chrystusowe.

W Ameryce jest obecnie bardzo źle. Nie będę się o tem rozpisywał, bo już mamy całe tomy amerykańskich skarg jeremjaszowych. Mimo to nie mamy jeszcze powodu do rozpaczy. Korzenie wiary w duszach nie obumarły. Pod naciskiem groźnych wypadków puszczają nowe soki i strzelają ku górze świeżemi latoroślami. Pocieszające objawy odrodzenia dostrzegamy nawet tam, gdzie życie religijne wydawało się całkiem zamarłe. Owoc to łaski Bożej i dobrej woli ludzkiej.

Mogłoby jednak odrodzenie szybszym postępować krokiem i obfitsze wydawać owoce, gdyby istniał wspólny plan

i zgodna współpraca między tymi, którzy szczególniej powołani są do „odnowienia wszystkiego w Chrystusie“.

Wśród Polonji amerykańskiej pracują coraz liczniejsze grupy misjonarskie: ks. ks. Zmartwychwstańców, Jezuitów, Franciszkanów, Wincencjanów, Salezjanów, Marjanów, a obok nich pracują w pojedynkę poszczególni misjonarze polscy z pośród ks. ks. Redemptorystów, Pasjonistów i innych zgromadzeń zakonnych.

Gdy po raz pierwszy w roku 1927 przybyłem na misje amerykańskie, pierwszem mojem pytaniem było: Czy jest tu „Związek Misjonarski“? Z wielkim żalem dowiedziałem się, że jeszcze o tem nie pomyślano. Niemcy i inne narody mogą mieć ogólno-krajowe związki misyjne, łączące w jedno wszystkie zakony i zgromadzenia misyjne, mogą mieć naczelne kierownictwo, mogą odbywać doroczne zjazdy, prowadzić centralne biuro informacyjne, wydawać wzorowe podręczniki kazań misyjnych, opracować wspólne plany i zgodnie je wykonywać. Oni mogą czynić to wszystko. Ale my, Polacy, musimy iść zawsze w rozsypce i zdzierać się w pojedynkę nie tylko przedwcześnie, ale w dodatku bezpłodnie.

Wyrzucał to nam, katolikom, Pius XI: Wielkie poświęcenia, wielkie wysiłki, ale w małem kółku, na małem podwórku.

Nie mogąc znieść tego stanu rzeczy, zwróciłem się z myślą i propozycją stworzenia Polskiej Unji Misjonarskiej w Ameryce najpierw do ks. ks. Zmartwychwstańców. Odpowiedzieli, że uznają potrzebę i pożytek takiej organizacji, ale nie mogą się tem zająć, gdyż są związani parafją i nie pracują na misjach. Mamy tu zresztą poważniejsze zakony misyjne, którym więcej przystoi wziąć w ręce taką inicjatywę. Radzili mi zwrócić się do ks. ks. Jezuitów.

Posłuchem mądrej rady i zagadnąłem kilku z nich. Oblali mię zimną wodą i orzekli, że się to w Ameryce nie uda, bo żadne zgromadzenie od swoich metod nie odstąpi i pod komendę innych nie pójdzie. Zwróciłem się wówczas do ojców Franciszkanów i namawiałem ich usilnie, aby się zorganizowaniem unji zajęli. Uznali i oni potrzebę, a nawet konieczność takiego porozumienia. Stworzyli już własną Unję Franciszkańską. Nie chcą jednak narzucać się innym za mentorów i kierowników. Znajdą się na to mądrzejsi i godniejsi.

Próbowałem jeszcze raz ks. ks. Jezuitów, zahaczałem potem ks. ks. Wincencjanów i Salezjanów, ale również bezskutecznie. Nikt nie chciał wystąpić z inicjatywą, chociaż wszyscy uznawali potrzebę wspólnego planu i zgodnego wykonania. Tak więc kroki podejmowane w 1927 i 28 roku nie doprowadziły do realnych wniosków.

Poruszałem później tę samą rzecz w rozmowach z księżmi proboszczami i nasłuchałem się ciekawych rzeczy. „Misjonarze muszą zmienić swoje przestarzałe metody i głosić prawdy Boże w nowej postaci i odpowiednio do nowych potrzeb“ — mówili prawie wszyscy.

„Dziś zdarza się nierzadko, że misjonarz odbębnia swoje nauki, dobre może przed 20. laty, ale nie w naszych przełomowych czasach“.

„Zaprosiłem misjonarza na dwa tygodnie. Wyłożył w pierwszym tygodniu kobietom, a w drugim mężczyznom prawdy ogólne, a na praktyczne ich zastosowanie zabrakło mu czasu. Na nic taka robota. Trzeba inaczej brać się do rzeczy, trzeba wchodzić w życie, sięgać do jego głębin“.

„Misjonarze bawią się często w podrzędne dewocyjki, a za mało dają tego, co stanowi treść życia chrześcijańskiego“.

„Misjonarze jeżdżą częstokroć ze swojemi sklepikami i każdy zachwala swój towar: jeden Franciszka, drugi Ignacego, trzeci Wincentego, inni Don Bosco albo Tereskę, a o Panu Jezusie i Matce Boskiej nie ma kto mówić“.

Najczęściej i najpowszechniej uskarżano się na to, że przeciw zwartemu naporowi niewiary i zepsucia nie stawiamy równie zwartego i skutecznego oporu. Wysiłki poszczególnych pracowników nie starczą na długo. Drobne zapory przez nich stawiane fala nowoczesnego pogaństwa obali i zniesie.

Czy to nie prawda? Wszak widzimy coraz wyraźniej, że mimo bohaterskich wysiłków jednostek Polonja nasza cofa się pod każdym względem. Dowodów mamy pod ręką bez liku.

Co począć w tem rozpaczliwem niemal położeniu? Od czego zacząć? Oczy wiernych utkwione w kapłanów, a oczy kapłanów zwracają się ku misjonarzom. Księża proboszczowie spodziewają się od nich częstokroć za dużo, wyczekują prawie cudu. Nie da się jednak zaprzeczyć, że mają prawo żądać i spodziewać się bardzo wiele, a przynajmniej wskazania jasnego celu, środków i planu pracy. Tych nadziei zawieść nie wolno. Misjonarze muszą stanąć na wysokości swego pionier-

skiego zadania. Muszą przystąpić do pracy misyjnej nie z problematycznem: „sprobujemy, może się uda“, ale z wielką wiarą w swoje posłannictwo i z kategorycznemi nakazami, opartemi na prawdzie Bożej i życiowej.

Zacząć więc trzeba od stworzenia wielkiej „Unji“ polskich misjonarzy w Ameryce. W tym celu należy zwołać jak najprędzej zjazd polskich misjonarzy, o ile możliwe jeszcze w te wakacje. Urządzeniem zjazdu zajmie się zgromadzenie, które najdłużej pracuje w Ameryce. Na zjazd należy zaprosić licznych przedstawicieli zakonów, zgromadzeń misyjnych i duchowieństwa diecezjalnego, słowem wszystkich, którzy się tą sprawą żywiej interesują. Zamiast referatów postawić należy problematy, jako punkty dyskusyjne, od których rozwiązania zależy byt lub niebyt Polonji.

Narzucają się następujące problematy:

1) Obumiera sumienie katolickie i narodowe naszej Polonji, nasz katolicyzm się protestantyzuje, a nasze chrześcijaństwo naturalizuje i masonizuje. Jakim sposobem wstrząsnąć sumienia i obudzić w nich żywą wiarę i umiłowanie sprawy Bożej?

2) Wyludniają się zastraszająco nasze rodziny, szkoły i parafje. Jak zbudzić poczucie obowiązku i ducha ofiary?

3) Mężczyźni utracili religijny ster życia swego i swoich rodzin. Jak obudzić w nich ducha męstwa chrześcijańskiego i poczucie odpowiedzialności przed Bogiem i narodem?

4) Młodzież nam się psuje i upada coraz niżej? Jak ją ratować od zgniłych wpływów otoczenia?

5) Wróg chrześcijaństwa nie zadowala się zabijaniem nas swoim zatrutym oddechem, lecz planuje krwawe gwałty, wzorowane na Rosji, Meksyku i Hiszpanji. Jak poznać jego plany i zwalczyć je skutecznie?

6) Pewien odłam katolików aryjskiego pochodzenia wiąże się z żydami i usiłuje ich bronić ze szkodą ogólnej sprawy katolickiej; poczyna już kokietować masonerję, może w nadziei ugłaskania wroga. Wroga nie ugłaskają, nas hańbą okryją i zgotują katolikom zgubę bez honoru. Jak zwalczyć to zakłamanie?

7) Ameryka jest krajem wielkich nadziei i możliwości. Odważni i humanitarni Amerykanie mogą się stać pierwszorzędnymi katolikami i przyspieszyć uchrześcijanienie świata. Ale trzeba ich przedtem uwolnić od fałszywego liberalizmu

masońskiego, od żydowskiego sensualizmu, od zmaterjalizowania ducha i wychować na prawdziwych chrześcijan o nadprzyrodzonym kierunku życia. Jak się zabrać do tego wielkiego dzieła nowego wychowania narodu?

8) My, Polacy, przybyliśmy do Ameryki nie poto tylko, aby się cieszyć wolnością i dostatkiem chleba, lecz przedewszystkiem Bóg nas tu przysłał w tym celu, abyśmy dali Ameryce Chrystusa i prawdę katolicką. W jaki sposób mamy spełnić tę misję? Jak nam się łączyć i współpracować z innemi narodowościami, aby jednocześnie nie zatracić własnej?

9) Mózgiem i sercem Polonji jest nasze kapłaństwo. Jak wychowywać nowych kapłanów, aby mogli sprostać swoim obowiązkom?

10) Wychowanie naszej dziatwy jest w rękach sióstr zakonnych. Dotychczasowe wyniki nie są zadowalające. Co trzeba zmienić i udoskonalić w metodach nauczania i wychowania, aby dać Polonji nowe pokolenia pełne tężyzny moralnej i fizycznej?

Te i tym podobne problematy narzucają się z całą siłą i musimy z niemi się uporać. Nie dokonamy tego odrazu, lecz jeśli pierwszy zjazd misjonarzy i proboszczów wskaże właściwą drogę, a następne zjazdy poprowadzą pracę dalej, to cel osiągniemy.

Na każdy rok wyznaczymy sobie specjalne zadanie do spełnienia według ważności i nagłości każdej sprawy i uruchomimy wszystkie siły, aby wykonać plan nakreślony. Przemówienia i kazania kleru parafjalnego w kościele i na mityngach, artykuły prasowe, wysiłki organizacyj kościelnych i świeckich, wreszcie całoroczna planowa i zgodna praca misjonarska — oto nasza broń prowadząca do zwycięstwa. Przy złączonych i sharmonizowanych wysiłkach ludzi dobrej woli zbudzą się sumienia i podźwigną się z gnuśności nawet leniwi i oziębli.

Uznając konieczność zorganizowanej i zgodnej współpracy, szanujemy indywidualną inicjatywę i wyrobione już wiekami własne metody misjonarskie. Pragniemy jednak, aby wszystkim poczynaniom przyświecała najwyższa i twórcza idea „odnowienia wszystkiego w Chrystusie“. Pragniemy, aby to odnowienie dokonywało się planowo według ważności poszczególnych zadań. Pragniemy, aby metody misjonarskie odpowiadały potrzebom i psychice dzisiejszego człowieka. Pragniemy,

aby drugorzędne, szczegóły, najczęściej materjalne, nie przesłaniały ważniejszych spraw ducha.

Na to chyba się wszyscy zgodzą.

Najbliższy zjazd misjonarski:

1) Zorganizuje Polską Unję Misjonarską w Ameryce.

2) Wybierze Prezesa Unji, który po roku może być zmieniony lub na dalszy okres wybrany.

3) Stworzy biuro informacyjne, które będzie działało w miejscu zamieszkania Prezesa Unji.

4) Zainicjuje Instytut Wydawniczy religijno-społeczny dla całej Polonji w miejscu najodpowiedniejszem, uzgadniając w ten sposób wysiłki wydawnicze poszczególnych grup misjonarskich i społecznych.

5) Wyda pamiętnik zjazdu jako cenną pomoc dla misjonarzy i duchowieństwa parafjalnego.

6) Wyznaczy miejsce następnego zjazdu misjonarskiego w roku 1940-ym.

7) Odwoła się o pomoc materjalną do zakonów, duchowieństwa parafjalnego i wiernych katolików, aby wspólnemi siłami stworzyć potężny fundusz wydawniczy i na miejsce zwalczanej dziś coraz energiczniej literatury złej i trującej dać w obfitości katolicką, zdrową i budującą.

W centrali wydawniczej mogą się znaleźć ksią!ki i pisma już istniejące. Nic na tem nie stracą, gdy otrzymają aprobatę i polecenie powszechnej unji misjonarskiej, zamiast ciasnej kramikowej reklamy własnej, która nie odpowiada ani wielkości zadań katolickich, ani powadze naszych czasów.

Wielki Pius XI mawiał, że katolicy krzątają się wprawdzie nie mało, zdobywają się na wielkie wysiłki i poświęcenia, ale ponieważ zamykają się w małych podwóreczkach i ciasnych kółkach, przeto wyniki pracy nie odpowiadają poniesionym trudom i ofiarom.

Czas już zajechać na głębię! Czas już zapuścić na połów większe i mocniejsze sieci. Czas największy złączyć wysiłki oddzielnych grup apostolskich, aby przyspieszyć tak bardzo przez wszystkich upragniony „pokój Chrystusowy w królestwie Chrystusowem“.

MATERJAŁY I SZKICE.

JEZUS — MISTRZEM APOSTOŁÓW.

Ks. dr Stanisław Włudyga, Kielce.

Uwaga wstępna. Celem niniejszego szkicu kazania biblijnego jest przedstawienie stosunku, jaki zachodzi między Chrystusem Panem, twórcą urzędu apostolskiego, a jego uczniami — apostołami. Urząd apostolski swe istnienie, wielkość i godność całkowicie i jedynie zawdzięcza Chrystusowi; wypełnienie zaś posłannictwa apostolskiego jest owocem łaski Chrystusowej oraz osobistej pracy i ofiary apostołów. Pierwsza prawda ma za sobą świadectwo Ewangelji, — druga jest potwierdzona nauką św. Pawła. — Materjał, jakiego dostarcza niniejszy szkic, można zużytkować w kazaniach o apostołach, względnie w przemówieniach o apostolstwie wiernych.

Jak ty mnie posłałeś na świat, i ja ich posłałem na świat. A za nich ja poświęcam samego siebie, aby i oni uświęceni byli w prawdzie. (Jan 17, 18-19).

Nie wystarczyło Chrystusowi Panu spełnić zadanie odkupienia ludzkości. Miłość jego pragnęła czegoś więcej. Pan Jezus, który przewiduje rychły powrót do Ojca, odczuwa boleść z powodu rozłąki z ludźmi i pragnie pozostać nadal wśród ziemskiej nędzy. Został z nami w Eucharystji. Jeśli jednak głębiej pójdziemy za myślą Chrystusa, to zauważymy, że obecność jego w Eucharystji jest poniekąd uzależniona. Trzeba, by zanim pocznie istnieć w Eucharystji, istniał w swoim Kościele. To jeszcze nie wszystko. Nie całemu Kościołowi, jako społeczności, powierzył prowadzenie nadal zbawczej swej misji, ale tym, których obrał i postanowił, aby szli i „owoc przynieśli” — apostołom.

Często powtarzamy ten wyraz „apostoł”; może niekiedy zbyt szafujemy tą godnością i zdobimy nią ludzi, którzy niewiele co postąpili ponad dobrych, zwyczajnych czcicieli Chrystusa. Ze wszystkich stron o uszy nasze obija się treść tego słowa; czyny wynikające z wiary nazywamy apostolskiemi. A jednak wszystko to staje się w nas małem, kiedy usłyszymy „wierzę w jeden, święty, katolicki i apostolski Kościół”. Na głos tych słów zastanawiamy się i myślą sięgamy daleko wstecz, bo do czasów ziemskiego życia Chrystusa. Przed oczyma naszemi staje dziwnie piękny obraz, obraz o treści niejednolitej bo zawierający całą trzechletnią działalność Chrystusa. Widzimy na nim Zbawiciela w rozmaitych oko-

licznościach działalności misyjnej, — jak naucza, jak szuka dusz, jak jest samotny i wśród tysiącznych rzesz. Ale gdy uważnie poddamy analizie ten obraz, uderzy nas jedna niezbita prawda — Chrystus znaczną część swego publicznego życia poświęca urobieniu apostołów!

Gdy czytamy w ewangeljach o powołaniu poszczególnych apostołów, na pierwszy rzut oka nie zauważamy scen nadzwyczajnych. Jedno wejrzenie Jezusa, jedno „pójdź za mną" — i ci prości ludzie porzucają rzemiosło (oczywiście tymczasowo w chwili powołania) — i idą za Jezusem. Lecz jeśli zagłębimy się w ewangelje z myślą dojrzenia całokształtu działalności Chrystusa Pana, zobaczymy, że piecza Mistrza nad ukształtowaniem dusz i serc apostołów, po spełnieniu woli Ojca i uwielbieniu Jego Imienia, zajmuje pierwsze miejsce w Jego Boskiem Sercu.

Panu Jezusowi, mówiąc po ludzku, zależy na apostołach. Dlatego nie opuszcza ich prawie nigdy; wszędzie mu towarzyszą. Często specjalnie do nich tylko przemawia. Dla wzmocnienia i ugruntowania w ich sercach wiary w jego Boskie, mesjańskie posłannictwo czyni cuda, jak w Kanie Galilejskiej, uciszenie burzy na morzu, wyrzucanie czartów. Skutek był pewny, bo „uwierzyli weń uczniowie jego". Wiara ta rośnie w nich z dniem każdym, podtrzymywana dobrocią i bezinteresownością ich Mistrza. Doskonale widzieli i wyczuwali w Chrystusie początkowo przynajmniej wysłańca Bożego, a zczasem wyznają go Synem Bożym. Tak, że P. Jezus po cudownem rozmnożeniu chleba i zapowiedzi ustanowienia Eucharystji, na widok wielu uczniów odchodzących na zawsze od niego, nie waha się wystawić apostołów na próbę. „Czy i wy chcecie odejść? Odpowiedział mu Szymon Piotr: „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego. A my wierzymy i poznaliśmy, żeś ty jest Chrystus, Syn Boży" (Jan 6, 68-69).

Prócz wiary uczy Pan Jezus apostołów swoich prawdziwej miłości Boga i bliźniego. Boć przecież choć dobre i szczere były to dusze, to jednak twarde, wychowane na gruncie surowości prawa mojżeszowego, pełne przesądów i myśli, które napełniały duszę ówczesnego Izraelity. Byli dziećmi swojego wieku. Nie obce były i dla nich te owe tęskne marzenia za wolnem, pełnem blasku królestwem, które miał ze sobą przynieść Mesjasz. Zbawiciel wiedział o wnętrzu ich dusz, o każdem drgnieniu ich serc.

Punkt za punktem przeciwstawia im Chrystus inną naukę. Przykładem swoim, zaparciem się — uczy ich miłości czynnej, praktycznej. Surowości i prawu odwetu, jakie głosił Stary Zakon, przeciwstawia Zbawiciel prawo — nie sprzeciwiania się złu. „Słyszeliście, iż powiedziano starym... Będziesz miłował bliźniego twego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela twego. A ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladujących i potwarzających was" (Mt. 5, 43-44). Kładąc w uszy apostołów takie dotąd niepraktykowane prawo, sięga Chrystus myślą daleko naprzód. Wtedy, kiedy im to mówił, słuchali go wprawdzie z zachwytem,

serca ich tajały pod tchnieniem ożywczem słów Zbawicielowych, „bo mówił nie jak faryzeusze i doktorowie, ale jako władzę mający”, — ale z całą pewnością nie kwapili się zbytnio do wprowadzania w czyn tego doprawdy nieziemskiego postulatu. Oni zrozumieją prawo miłości, ale wtedy dopiero, gdy sami „obleczeni mocą z wysoka” pójdą w ślady Mistrza, i będą mu „świadkami... aż po krańce ziemi”. Nim to jednak nastąpi, wiele czasu upłynie, niejeden przykład heroicznej miłości musi im dać Zbawiciel, niejedną gorzką wymówkę i naganę usłyszą z ust Jego. „Nie wiecie, czyjego ducha jesteście; syn człowieczy nie przyszedł gubić dusze, ale je zbawiać” (Łk 9, 56) — oto odpowiedź Chrystusa na porywczość apostołów z okazji nieżyczliwości Samarytan do niego. Apostołowie chcieli pomsty, chcieli ogień z nieba spuścić na miasto, — Chrystus każe im przebaczać, miłować.

Wymaga od nich Zbawiciel prostoty i pokory, a chęci wywyższania się nad innych — przeciwstawia nieznające niezdrowych ambicyj dziecię; „albowiem kto mniejszy jest między wami wszystkimi, ten jest większym” (Łk 9, 48). By ich przekonać, że pokora będzie jedną z fundamentalnych cnót przyszłego nawracania świata, nie waha się Jezus uniżyć aż do mycia im nóg. Ale nie poto uniża się Pan, by słudzy jego wynosili się, nie! Ten akt pokory ze strony Chrystusa jest zarazem dla nich rozkazem; to nie tylko oznaka kochającego ich serca, ale to twardy, ciężki, śmiało rzec można, krzyżowy obowiązek. „Jeśli tedy ja, Pan i Nauczyciel, nogi wam umyłem, i wy powinniście jeden drugiemu nogi umywać” (Jn 13, 14). „Powinniście”, — a więc nie według własnego widzimisię praktykować tę cnotę, ale wpatrzeni w przykład Chrystusa,—„albowiem dałem wam przykład, abyście i wy czynili tak, jak ja wam uczyniłem. Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam: sługa nie jest większy nad pana swego” (Jn 13, 15-16). Tak pojęta pokora zapewni im spokój wewnętrzny, nauczy ich cenić ludzi i widzieć w nich obraz Boży, będzie dla nich lekarstwem na pychę, ochroni ich przed zarozumiałością faryzejską, — i będzie zadatkiem szczególnego błogosławieństwa Ojca niebieskiego. „Jeśli to wiecie, błogosławieni będziecie, jeśli to uczynicie” (Jn 13, 17). „Uczcie się ode mnie, żem jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym” (Mt 11, 29). Wyżej w oczach apostołów stawia Chrystus łączność z Bogiem poprzez pokorę i cichość nawet nad moc czynienia cudów; bo tę władzę daje im on sam bez względu na specjalne ich zasługi i wartości osobiste, a tymczasem pokory każe się uczyć, każe wielu rzeczy wyrzec się, aby ją zdobyć. Zdobycie pokory — równa się zdobyciu królestwa niebieskiego. „Wszelako z tego się nie weselcie, że się wam duchy poddają, ale się weselcie, że imiona wasze zapisane są w niebiesiech” (Łk 10, 20).

By przygotować apostołów na przyszłych siewców prawd nadprzyrodzonych, *musiał Chrystus* zwolna ale gruntownie *rozprawić się* w ich duszach *z poglądem — na istotę królestwa mesjańskiego.* Nie można powiedzieć, by wśród współczesnych Chrystusowi Panu nie było pobożnych dusz, któreby w prawdziwy sposób pojmowały

rolę przyszłego Mesjasza. Owszem, prawdziwi Izraelici, wychowani na duchu proroctw, rozumieli, że Mesjasz przyjdzie, by założyć nowe królestwo, królestwo duchowe. I o takie królestwo modlili się, za takiem królestwem tęsknili. Do tych dusz należała przedewszystkiem Najśw. Marja Panna, która po pouczeniu anielskiem ani na chwilę nie wątpiła, że Jezus nie przyszedł jako władca ziemski, ale że „da mu Pan Bóg tron Dawida, ...i będzie królował w domu Jakóbowym na wieki, a królestwu jego nie będzie końca" (Łk 1, 33). Nie o ziemskiem królestwie mesjańskiem marzył napełniony Duchem Świętym Zacharjasz, kiedy śpiewał: „Błogosławiony Pan, Bóg Izraela, iż nawiedził i uczynił odkupienie ludu swego i podniósł dla nas róg zbawienia w domu Dawida... abyśmy, wybawieni z ręki nieprzyjaciół naszych, bez bojaźni mu służyli, w świątobliwości i sprawiedliwości przed nim, po wszystkie dni nasze" (Łk 1, 68-69. 74).

A ono dziękczynne westchnienie Symeona czyż nie świadczy o tem, że starzec ten szczęście swego narodu widział w innem, aniżeli ziemskie, zbawieniu? „Teraz puszczasz, Panie, sługę twego w pokoju... gdyż oczy moje oglądały zbawienie twoje, które zgotowałeś przed obliczności wszystkich narodów: światłość na objawienie pogan i chwałę ludu twego izraelskiego... Oto ten położony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą" (Łk 2, 29-32. 34). — Do takich dusz należała owa Anna prorokini, która „nie odchodziła ze świątyni, postami i modlitwami służąc we dnie i w nocy" (Łk 2, 37) — oczekując odkupienia Izraela.

Niewątpliwie właściwy pogląd na zadanie mesjańskie Chrystusa miał św. Jan Chrzciciel, kiedy rzesze nad Jordanem nawoływał do pokuty, do zmiany życia; „gotujcie drogę Pańską", bo „w pośrodku was stanął, którego wy nie znacie... któremu ja nie jestem godzien rozwiązać rzemyka obuwia jego" (Jn 1, 27-28). „On ma róść, a ja się umniejszać..., kto z nieba przyszedł, jest nad wszystkimi" (Jn 3, 30-31). — Ale to były tylko dusze nieliczne i specjalnie przez Boga pouczone i udarowane łaską patrzenia w dobra królestwa mesjańskiego.

Przywódcy ludu, starszyzna, kapłani i faryzeusze prawie jednomyślnie inaczej wyobrażali sobie królestwo mesjańskie. Dla nich Mesjasz miał być przedewszystkiem odnowicielem, wskrzesicielem potęgi politycznej, przywróceniem dawnej świetności, przepychu, zbrojną ręką domagający się niezależności Palestyny. Dlatego Jezusa, głoszącego im naukę o królestwie Bożem, w którem wartość będzie miała cnota, a nie mamona, które będzie zbudowane na sprawiedliwości wewnętrznej, a nie na gwałcie i wyzysku, którego treścią będzie cześć Boga „w duchu i prawdzie", a nie zewnętrzny tylko kult połączony tak często u nich z fałszem i obłudą, — znienawidzili całą duszą. Gardzili Zbawicielem cichym „i pokornego serca", ubogim, nawołującym do szukania „królestwa Bożego i sprawiedliwości jego"; dokładali wszelkich starań, by utrudnić Chrystusowi Panu ewangelizację ziemi ojczystej. Dobrze

o ich nastrojach wewnętrznych mówi Chrystus: „Biada wam, doktorowie i faryzeusze obłudnicy, że zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi; sami bowiem nie wchodzicie, a wchodzącym nie pozwalacie wejść” (Mt 23, 13). Drażni ich świętość Jezusa, a jeszcze bardziej niepokoją wielkie cuda jakie czyni, dobrodziejstwa wyświadczane tak jednostkom jak i rzeszom; boją się, by nie stracili wpływu na masy, które coraz pochlebniej wyrażały się o Nauczycielu z Nazaretu. Stąd iście szatańskie zakłopotanie: „Cóż poczniemy, bo ten człowiek wiele cudów czyni? jeśli go tak zaniechamy, wszyscy weń uwierzą, i przyjdą Rzymianie, i zabiorą naszą ziemię i naród” (Jan 11, 47-48). Jakże wybrnęli z kłopotliwej sytuacji? Bardzo prosto, bez skrupułów, gdyż „od tego dnia postanowili, że go zabiją” (Jan 11, 53). — Tak to zawyrokowali o tym, na którego czekały wieki, o którym ich właśni praojcowie prorokowali, dla których sama zapowiedź jego przyjścia była już niewymowną radością i osłodą, że kiedyś będzie on wypełnieniem obietnic, danych im przez Boga. „Abraham, ojciec wasz, z radością wyglądał dnia mojego, i ujrzał, i rozradował się” (Jn 8, 56). A jakiż oddźwięk wywołała nauka Jezusa wśród ludu? Czy i lud zamknął przed nim serce? Nie. Rzesze cisnęły się do Jezusa. Jego postać pociągała je. Te proste dusze, niekiedy tak bardzo uciśnione pod względem fizycznym i moralnym, — dobroć Chrystusa przemieniała na gorliwych słuchaczów nauk o królestwie Bożem. A kiedy Chrystus swą wzniosłą naukę potwierdzał cudami, które im chleba dały do syta, nie obcy był im zamiar, by go „porwać i uczynić królem”.

Choć tedy nastawienie ludu było przychylne Jezusowi, to jednak było ono bardzo powierzchowne, zbyt interesowne, a nawet materjalizmem zatrute. „Szukacie mnie nie dlatego, żeście cuda widzieli, ale żeście chleb jedli i najedli się” (Jn 6, 26) — tak charakteryzuje sam Chrystus pobudki wewnętrzne rzesz.

Z tego to prostego ludu — Zbawiciel wybrał dwunastu na apostołów. Byli dziećmi, synami swego czasu. Błędy dotyczące fałszywego rozumienia królestwa mesjańskiego nurtowały i w ich umysłach. Na samą wiadomość, że Jezus jest z Nazaretu, poczciwy Natanael odpowie Filipowi: „Czy może z Nazaretu być co dobrego?” (Jan 1, 46), ale, że jest prawdziwym Izraelitą, „w którym niemasz zdrady”, — uzna później z całą gorącością duszy w Jezusie — Mesjasza. Chrystus nigdy nie zraża się, jeśli chodzi o urabianie apostołów, ale też nigdy nie pozostawia ich bez odpowiedzi, jeśli chodzi o właściwy pogląd na jego działalność, jako Mesjasza. Apostołowie, widząc w nim już nie tylko potężnego proroka, ale i Syna Bożego, tem bardziej zdradzają niejednokrotnie swe nadzieje na przyszłość. W królestwo, które Jezus ma założyć, wierzą, ale pojmują je widocznie na sposób ziemski, bo spodziewają się specjalnych wyróżnień — „powiedz, aby ci dwaj synowie moi siedzieli jeden po prawicy, a drugi po lewicy w królestwie twojem” (Mt 20, 21) — prosi w imieniu Zebedeuszów ich matka. Często kłótnie i spory powstają między nimi, kto z nich będzie

pierwszy. Piotr pyta otwarcie Chrystusa: „Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za tobą; cóż nam tedy będzie?" (Mt 19, 27). P. Jezus, na te pytania i myśli przyziemskie apostołów, odpowiada o przyszłej nagrodzie w chwale wiekuistej: „będziecie i wy siedzieć na dwunastu stolicach, sądząc dwanaście pokoleń izraelskich" (Mt 19, 28), bo każdy, który dla królestwa Bożego i Chrystusa zrobi ofiarę, wyrzeknie się spraw i przywiązań doczesnych, żywot wieczny otrzyma.

Apostołowie widzieli znaki Boże, które świadczyły nie o ziemskiem pochodzeniu Chrystusa, niektórzy z nich oświeceni łaską wyznali nawet jego Bóstwo, a mimo to nie wyrzekli się całkowicie myśli o ziemskiem królestwie. Często w takich chwilach Zbawiciel podsuwa im myśli o bliskiej jego męce, ukrzyżowaniu, śmierci, zmartwychwstaniu, by ich oderwać od nadziei tego świata, ale i to ich narazie całkowicie nie zmienia. „Odtąd począł Jezus pokazywać uczniom swoim, iż potrzeba, aby szedł do Jeruzalem i wiele wycierpiał od starszych i doktorów i od przedniejszych kapłanów, i był zabity i trzeciego dnia zmartwychwstał" (Mt 16, 21), — ale „oni nic z tego nie zrozumieli i było to słowo zakryte przed nimi i nie pojęli, co on mówił" (Łk 18, 34).

Mało tego, że nie pojęli co Chrystus mówił, ale Piotr wziął Jezusa nawet na stronę i „począł go strofować, mówiąc: Boże cię uchowaj, Panie! nie przyjdzie to na ciebie" (Mt 16, 22). Że zaś ludzkie wyrachowanie kierowało Piotrem, aż nadto jasno wynika z odpowiedzi Chrystusa danej Piotrowi: „Jesteś mi zgorszeniem, iż nie rozumiesz co jest Bożego, ale co jest ludzkiego" (Mt 16, 23).

Jakie myśli pielęgnowały serca uczniów Chrystusowych, widać z wyraźnego rozczarowania, jakiemu podlegają po śmierci Jezusa. Jakkolwiek tyle razy słyszeli o niej, o zmartwychwstaniu, to przecież są smutni i zawiedzeni. „A myśmy się spodziewali, że on odkupi Izraela, a teraz po tem wszystkiem trzeci dzień jest, jak to się stało" (Łk 24, 21) — żalą się w drodze do Emaus. Zapewne nie myśleli o odkupieniu Izraela z grzechów jego, bo w takim razie powinni w śmierci Chrystusa widzieć to odkupienie, ale spodziewali się odkupienia ziemskiego, splendoru królestwa. Dramat śmierci Chrystusa wstrząsnął na chwilę duszami apostołów. Zbawiciel jednak doprowadza ich do równowagi przez ukazywania im się i przebywanie z nimi przez czterdzieści jeszcze dni. Obecnie zrozumieli, że jednak ich Mistrz ukochany zwyciężył śmierć, potężnych wrogów i znów serdecznie z nimi obcuje, „mówiąc im o królestwie Bożem". To ich napełniło nadzieją, ale znów ziemską; ciągle jeszcze niestety myślą o doczesnem panowaniu Mesjasza; — „Panie, czy w tym czasie przywrócisz królestwo Izraelowi?" (Dz. Ap. 1, 6) — pytają tuż przed samem Wniebowstąpieniem.

Tak więc pokrótce widzieliśmy, ile pracy musiał podjąć Chrystus, by wykształcić sobie apostołów, ile wyplenić z ich serc wad, przesądów, a ile zaszczepić wiary, miłości i nadziei w inne królestwo, królestwo nie z tego świata.

Resztę obiecał Zbawiciel uzupełnić przez danie im Ducha Św., który miał ich ostatecznie przerobić wewnętrznie, umocnić i uświęcić. I tym właśnie Apostołom nie wahał się Chrystus *powierzyć wszystkich skarbów odkupienia*, zostawionych w świeżo założonym Kościele świętym. Czyni to Chrystus w chwili bardzo podniosłej. Ostatnia Wieczerza. Przed chwilą P. Jezus ustanowił Eucharystję, i wyświęcił apostołów na kapłanów. I z ust Chrystusa padają słowa: „Wy wytrwaliście przy mnie w pokusach moich, a ja wam przekazuję królestwo, jak mnie przekazał Ojciec mój, abyście jedli i pili u stołu mego w królestwie mojem i siedzieli na stolicach, sądząc dwanaście pokoleń izraelskich” (Łk 22, 28-30). Temi słowy przekazuje im Jezus swoje królestwo i władzę w niem. Jak Ojciec niebieski uczynił go pośrednikiem wszystkich dóbr duchowych, jakie zgotował w odkupieniu, tak Chrystus odchodząc z tego świata, czyni apostołów swoich współpośrednikami Nowego Testamentu. Daje im tę władzę, jaką mu dał Ojciec niebieski. Apostołowie mają uświęcać, mają być organami umożliwiającemi działanie łaski w duszach tej nowej społeczności, nowej rodziny, którą Chrystus założył, t. j. Kościoła. — W Kościele złoży Zbawiciel wszystkie zasługi swej Krwi przenajświętszej. Kościół jest tem jego królestwem, w którem apostołowie mają „jeść i pić u stołu” królewskiego, t. j. mają uczestniczyć w przekazywaniu ludziom tych łask, jakie Chrystus im powierzył, zwłaszcza przez Eucharystję, przez którą ściśle łączymy się z Chrystusem. — W królestwie tem, które im Jezus oddaje, mają oni siedzieć na tronach, „sądząc dwanaście pokoleń izraelskich” — czyli mają rzeczywiście sprawować rządy nad społecznością ustanowioną przez Chrystusa i odrodzoną przez śmierć jego, nad owym „nowym Izraelem“, o którym tylokrotnie przepowiadali prorocy.

Po tym tak ważnym akcie mógł Jezus z radością modlić się do Ojca: „Wykonałem sprawę, którąś mi zlecił” (Jn 17, 4). Mógł Zbawiciel spokojnie odejść do Ojca po chwałę, którą miał wpierw, niźli świat był. Zastępcy Jego bowiem — gotowi! „Słowa, które mi dałeś, ja im dałem, a oni przyjęli i poznali prawdziwie, żem od Ciebie wyszedł, i uwierzyli, żeś ty mnie posłał” (Jn 17, 8).

Ale Serce Zbawicielowe jeszcze raz ogarnia apostołów niezmierną miłością i stawia ich przed Ojcem niebieskim w serdecznej modlitwie. „Ojcze święty, zachowaj w imię twoje tych, których mi dałeś, aby byli jedno, jako i my... Ja im dałem mowę twoją, a świat miał ich w nienawiści, bo nie są ze świata, jak i ja nie jestem ze świata... Uświęć ich w prawdzie... A nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy przez słowo ich uwierzą we mnie, aby wszyscy byli jedno, jak ty, Ojcze, we mnie, a ja w tobie, aby i oni w nas jedno byli, aby uwierzył świat, żeś ty mnie posłał... Chcę Ojcze, żeby i ci, których mi dałeś, byli ze mną, gdzie ja jestem, aby oglądali chwałę moją, którąś mi dał” (Jn 17, 11-23). Modlitwa Chrystusa za apostołów musiała być skuteczną, zapewniała dziełu Chrystusowemu trwanie. Dlatego Zbawiciel spokojny idzie na mękę.

Czas męki wystawi apostołów na przykre próby. Piotr zaprze się Zbawiciela, ale łaską tknięty gorzko będzie płakał. Inni ucieknią, ale później zgromadzą się. Po zmartwychwstaniu Jezus ostatecznie utwierdzi ich wiarę. Piotra uczyni głową Kościoła i da im rozkaz: „Idąc na wszystek świat, nauczajcie wszystkie narody... a oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata” (Mt 28, 19-20). Otrzymawszy Ducha Św. w dzień Zielonych Świątek, pójdą na cały świat i rozkaz Jezusa spełnią. Światu naukę Jezusową ogłoszą, i życie zań złożą w ofierze. Oto owoc pracy Chrystusowej!

II.

Spójrzmy teraz na inny obraz. Chrystus w chwale niebieskiej siedzi po prawicy Ojca i błogosławi swemu dziełu, które pozostawił na ziemi. Widzi, jak to „ziarno gorczyczne” rozrasta się, jak wchodzą setki, tysiące... miljony do jego Kościoła. To owoc jego łaski i pracy apostołów. Patrzmy, jak borykają się dla Chrystusa, jak mu są wdzięczni za łaskę powołania, jak bez wytchnienia idą w jego ślady.

Gdzie ich siła? Przedewszystkiem w ich powołaniu apostolskiem, którego dokonał wyłącznie Chrystus. Jeśli idą, i idą z taką mocą, to nie dla jakichś innych racyj, ale tylko dlatego, że tak chce Chrystus. Idą, nie jako samozwańcy, ale z łaską powołania. „Paweł, z woli Bożej powołany apostoł Jezusa Chrystusa” (1 Kor 1, 1) — oto najlepsza legitymacja. „Przeznaczony do opowiadania Ewangelji... o Jezusie Chrystusie, Panu naszym, przez którego wzięliśmy łaskę i apostolstwo” (Rzym. 1, 2. 5) — oto napis, który widniał na duszy każdego z apostołów. „Zamiast Chrystusa tedy poselstwo sprawujemy” (2 Kor 5, 19) — oto tytuł, który ich zaleca jako wysłanników Chrystusa, wyposażonych w boską misję, a nie na mocy własnych zasług. „My bowiem jesteśmy pomocnikami Bożymi, a wy rolą Bożą, budowaniem Bożem” (1 Kor 3, 9) — oto akt wielkiej pokory wobec owoców pracy swojej, wobec wiernych.

Fundamentem opowiadania apostolskiego jest — Chrystus. Prawdziwy apostoł nie siebie szuka, nie chwały swojej, gdyż wie, że to wszystko, co zbudowane na pierwiastku ludzkim, jest kruche, bo „fundamentu innego nikt założyć nie może, krom tego, który jest założon, a którym jest Chrystus Jezus” (1 Kor 3, 11). Wzniosły urząd przepowiadania prawdziwy apostoł zdecydowany jest wykonywać z całą swobodą, gdyż treścią tego przepowiadania czysta prawda Boża, — Chrystus „który jest obrazem Boga” (2 Kor 4, 4). Tę i tylko tę postać Chrystusa pragnie każdy apostoł ukazać wiernym w całej chwale i krasie, bo do tego posłannictwa został przeznaczony od Boga. Dlatego „nie samych siebie opowiadamy, ale Jezusa Chrystusa Pana naszego; siebie zaś stawiamy jako sług waszych przez Jezusa” (2 Kor. 4, 5).

W opowiadaniu Ewangelji, w głoszeniu Chrystusa, apostołowie liczą przedewszystkiem na pomoc Bożą, a nie na własną znajomość i mądrość. Przyczyna ich wielkiej mocy i siły tkwi

w ufności w Bogu; działają bowiem dla Bożej sprawy, spełniają dzieło swego urzędu apostolskiego. Co powiedział św. Paweł o sobie, można z całą pewnością uważać za wspólne wszystkim apostołom: „Ja też, gdym był przyszedł do was, bracia, nie wystąpiłem z górną mową lub mądrością, głosząc wam świadectwo w Chrystusie: gdyż postanowiłem sobie nic innego nie umieć między wami, jedno Jezusa Chrystusa, i to ukrzyżowanego. I byłem wśród was ze słabością, i z bojaźnią, i ze drżeniem wielkiem: a mowa moja i moje nauczanie nie polegały na przekonywujących słowach mądrości ludzkiej, ale na okazaniu ducha i mocy, aby wiara wasza nie opierała się na mądrości ludzkiej, ale na mocy Bożej" (1 Kor. 2, 1-5). Stąd w sposobie przepowiadania i zachowaniu się apostołów widzimy zawsze wielką ufność, siłę i hart ducha. Jakżeby bowiem nikła była praca około szerzenia królestwa Bożego, gdyby apostołowi nie przyświecało bezwzględne i najwyższe przekonanie o prawdziwości Ewangelji, którą pragnie zaszczepić w sercach słuchaczów! Tylko żywa wiara apostoła w to, co głosi, może zapewnić mu pomoc i łaskę Ducha Św., a co za tem idzie skutek i owoc w przepowiadaniu — wzrost królestwa Bożego w duszach. „Bo nie w słowach jest królestwo Boże, lecz w mocy" (1 Kor 4, 20).

Tylko wiara w Jezusa ukrzyżowanego, który jest treścią życia i prac apostolskich, może dać rękojmię, że tak apostoł, jak i jego owieczki nie zginą na wieki. „Albowiem nauka o krzyżu dla tych, którzy giną, jest głupstwem, lecz dla tych, którzy dostępują zbawienia, to jest dla nas, jest mocą Bożą" (1 Kor 1, 18). Ale nauka o krzyżu, o Chrystusie ukrzyżowanym nie jest łatwą do przyjęcia, stąd mimo nadludzkich wysiłków ze strony apostołów, wielu ginie w niedowiarstwie na wzór tych Żydów, co zawsze domagali się cudów, lub Grekòw, którzy w głoszonej Ewangelji szukali jeno mądrości ludzkiej. Dla serca apostolskiego płynie stąd piekąca boleść, która znajduje oddźwięk w owem tkliwem pragnieniu Pawłowem: „Bracia, pożądaniem serca mojego i modlitwą moją do Boga są oni, zbawienie ich" (Rzym. 10, 1). Apostoł boleje nad niedowiarstwem ziomków swoich, którzy w zaślepieniu trwają, wzgardziwszy Chrystusem; zmarnowali łaskę wszystkich obietnic danych im przez Boga — odrzuciwszy Jezusa, który „wedle ciała" przecież do nich należał. Jak przeogromny ból targa serce apostolskie, świadczy o tem gotowość, z jaką chciałby się poświęcić za braci swoich. „Świadectwo mi daje sumienie moje w Duchu Świętym, że smutek i ból nieustający noszę w mem sercu. Bo pragnąłbym sam być skazanym na zatracenie daleko od Chrystusa za braci moich, którzy są krewni moi według ciała, którzy są Izraelici, których jest synostwo, i przymierze, i zakon, i służba Boża, i obietnice" (Rzym 9, 2-5). — Tak kochać może tylko ten, kto oddał się Chrystusowi na całopalną ofiarę, dla kogo „żyć jest Chrystus, a umrzeć zysk" (Filip 1, 21).

Prawdziwy apostoł nie może zapominać w swej pracy około Ewangelji o tym najskuteczniejszym środku, jakim jest — m o d l i t w a. Apostoł musi być mężem modlitwy. W przeciwnym razie

przestaje być apostołem. Jak Chrystus, przed odejściem z tego świata, w modlitwie Ojcu niebieskiemu powierzał swoją „trzódkę małą", tak i apostołowie ustawicznie proszą Jezusa w modlitwach o pomnożenie miłości w duszach swych owieczek. „O to się modlę, aby miłość wasza pomnażała się coraz więcej i więcej w umiejętności i we wszelkiem rozumieniu" (Filp 1, 9), zapewnia św. Paweł Filipian. „Dlatego i my od onego dnia... nie przestajemy modlić się za was i prosić, abyście byli napełnieni znajomością woli jego we wszelkiej mądrości" (Kol 1, 9) — oświadcza wiernym w Kolosach.

Ponieważ modlitwa zapewnia skuteczne opowiadanie Ewangelji, trzeba, aby i wierni modlili się za swych apostołów, aby im wypraszali u Boga światło i moc w pracy nad oświecaniem dusz. „W modlitwie trwajcie, i czujni na niej bądźcie z dziękczynieniem, modląc się razem i za nas, aby nam Bóg otworzył drzwi słowa, ku opowiadaniu tajemnicy Chrystusowej, abym ją oznajmił, jak mi mówić potrzeba" (Kol 4, 3).

Apostoł Jezusa Chrystusa musi być apostołem d o b r e g o p r z y k ł a d u. Wierni, patrząc na jego życie, winni widzieć żywego Chrystusa, winni uczyć się Chrystusa, uformować w sobie Chrystusa. Nie zysk doczesny przeto, nie troska o własne utrzymanie, ale bezinteresowność, to wielki i niczem niezastąpiony sekret powodzenia w nawracaniu dusz. Apostoł musi się wznieść ponad przekonania polityczne czy społeczne wiernych, ponad bogatych i biednych, ponad uczonych i prostaczków. On dla wszystkich, on „niewolnikiem wszystkich", aby ich jak najwięcej pozyskał. „Dla słabych stałem się słabym, abym słabych pozyskał. Dla wszystkich stałem się wszystkiem, abym wszystkich ratował; a wszystko czynię dla Ewangelji" (1 Kor 9, 22) — oto metoda św. Pawła.

Wreszcie najszlachetniejszy towarzysz apostołowania — c i e r p i e n i e. „Jeśli mnie prześladowali, i was prześladować będą" (Jn 15, 20) — zapowiedział Chrystus apostołom. I to się zawsze sprawdza w działalności każdego apostoła Jezusa Chrystusa. Wielcy tego świata prześladują apostołów, bo nauka jaką głoszą sprawia im wyrzut sumienia za ich uczynki. Wiodą ich przeto przed królów i rady, biczują i zakazują głosić imię Jezusa. Ale to nie pomaga. „Należy więcej słuchać Boga niż ludzi" (Dz. Ap. 5, 29) — odpowiedzą, i choć będą sponiewierani, to jednak wracać będą „z weselem, że stali się godnymi dla imienia Jezusa zelżywość cierpieć" (Dz Ap 5, 41). Z krzyża Chrystusowego spływało na apostołów światło, zrozumienie, siła i zapał. Krzyż — to dla nich księga żywota, to powiew nadprzyrodzoności, to mądrość i miłość. Jeśli nieraz ciężar trudów apostolskich przygniatał ich i zdawał się być ponad ich ludzkie przecież siły, wówczas wzrok ich padał na krzyż. Skoro Bóg ten jeden obrał środek dla zbawienia świata, najlepszy, najskuteczniejszy, jakże mogliby pragnąć czegoś innego apostołowie dla siebie i swoich? Poszli gotować przecież drogę Pańską, a tem samem gotować się na drogę krzyżową, iść nią mężnie za Chrystusem, z Chrystusem. Krzyż zbliska nie tak straszny, bo ozdo-

biony, opleciony niejako łaską. „Dobry pasterz duszę swą daje za owce swoje” (Jn 10, 11). Te słowa ciągle w pracach wywołują im wizję ich Boskiego Mistrza. Widzą go, jak idzie przed nimi drogą zaparcia się życia umartwionego, pracy utrudzającej bardzo, z pełną świadomością, że u kresu czeka go poniżenie, hańba, męka i śmierć wzgardzona. Taką drogę naznaczył Ojciec niebieski Synowi jednorodzonemu, którego posłał na zelżywość i katusze tak fizyczne, jak i moralne. Czyż więc jego wybrani mieliby iść inną drogą? Nie, bo „wszyscy, którzy chcą żyć pobożnie w Chrystusie Jezusie, prześladowanie cierpieć będą” (2 Tym 3, 12), — a cóż dopiero apostołowie? Jeden rzut oka na cierpienia Chrystusa wystarczy dla nich, by zapłonęli znów pragnieniem nowych ofiar, zadośćuczynienia, wynagrodzenia, ofiarnego cierpienia dla współpracy w dziele odkupienia, zbawienia dusz. Chrystus żadnej nie popełnił winy, a tak strasznie cierpiał, z miłości ku duszom. „Miłość Chrystusa przynagla nas” — wołają apostołowie, by pójść w jego ślady. A ślady te znaczone krwią ofiarną. Dlatego też i każdy z apostołów życie swe oddał za Chrystusa i jego dzieło.

Cóż więcej mógł uczynić Chrystus dla swego Kościoła i dla nas? Przecież już sama miłość i bezmiar poświęcenia ze strony Zbawiciela aż do wylania ostatniej kropli krwi przeraża nas, ale zarazem napełnia i ufnością, że mając takiego króla i kapłana, nie zginiemy. A my mamy coś więcej jeszcze... Mamy żyjącego Chrystusa, którym jest Kościół. Jesteśmy członkami tego Kościoła, w którym poprzez ręce apostołów spłynęły pierwsze skarby odkupienia na dusze i po dziś dzień tą samą drogą płyną. Niechżeż z serc naszych płynie za to do Chrystusa gorąca modlitwa dziękczynna nie inna, jeno ta, którą Mu składa Kościół św. „Zbawienną jest rzeczą, abyśmy Ciebie, Panie, w pokorze błagali, abyś swojej trzody, Pasterzu wieczny, nie opuszczał, lecz strzegł jej nieustanną opieką przez świętych apostołów swoich. Ażeby rządzona była przez tych kierowników, których jako zastępców w swem dziele dałeś jej za przełożonych i za pasterzy” (prefacja o Apostołach).

KU PRZEBUDOWIE USTROJU SPOŁECZNEGO.

Ks. Bolesław Rydzy, Zagnańsk.

VI

INTERWENCJA PAŃSTWA.

Dla rozwiązania kwestji społecznej wiele czyni Kościół, wiele światła i ukojenia wnosi jego nauka, wiele znaczy wychowywanie przezeń ludzi w cnotach społecznych, pouczanie bogatych i pracodawców o ich obowiązkach zarówno co do dobrego użycia bogactw jak i o należytem braterskiem traktowaniu robotnika, oraz pouczanie robotnika o godności i cenieniu pracy, którą Chrystus Pan przykładem swym uświęcił i cenę nieba do niej przywiązał. Ale rozstrój społeczny zaszedł tak daleko, że potrzeba, aby wszystkie siły zainteresowane i pragnące dobra społecznego zjednoczyły się ku usunięciu niedomagań życia, a w pierwszym rzędzie do nich należeć musi państwo, na którem przedewszystkiem ciąży troska o dobro publiczne.

Bo nie zdał przecież życiowego egzaminu „wolny człowiek", mający być dla siebie suwerenem, sam sobą rządzący, jak to głosił liberalizm. W pędzie za osobistym egoistycznym zyskiem stał się niszczycielskim żywiołem, nie umacniał, ale rozsadzał społeczeństwo, rozstrój i krzywdę rozsiewając wszędzie. Dziś same moralne hasła nie uleczyłyby życia, potrzeba więc nad człowiekiem, nad jego działalnością nadrzędnej materjalnej siły, organizującej i porządkującej życie. A może nią być tylko państwo, tem bardziej, że brak danych ku temu organizacyj autorytatywnych. Dziś potrzebę interwencji państwa w życie społeczne i gospodarcze każdy docenia, oczywiście w słusznych granicach. Ale w wieku XIX, gdy święciła tryumf „wolność gospodarcza", ingerencja państwowa nie mogła mieć miejsca. W roku 1885 naprzykład wzywano rząd brytyjski do robienia zapasów ryżu dla uchronienia ludności Indyj przed głodem, naturalnie rząd odmówił, bo byłoby to przeciwne panującym wówczas zasadom ekonomji politycznej. Dla tej samej zasady odmówił akcji pomocniczej i wówczas nawet, gdy głód przyprawił o śmierć już 4 tysiące ludności indyjskiej.

Jakże więc aktualne i potrzebne było na owe czasy wzywanie Leona XIII państw do interwencji w życie gospodarcze, gdy w Encyklice R. N. pisał: „Kierownicy państw winni naprzód rozwinąć ogólną i powszechną działalność za pośrednictwem systemu praw i urządzeń, aby sam ustrój i zarząd państwa sprzyjał dobrobytowi tak powszechnemu, jak jednostkowemu... Tem zaś, co ten dobrobyt powszechny narodu tworzy, są: moralne obyczaje, życie rodzinne, oparte na podstawach prawa i ładu, poszanowanie religji i sprawiedliwości, umiarkowanie w ustanawianiu, a sprawie-

dliwość w rozdzielaniu ciężarów publicznych, rozwój przemysłu i handlu, rozkwit rolnictwa i inne tego rodzaju środki, które tem lepsze i szczęśliwsze zapewniają warunki życia obywatelom, im większy wykazują postęp. I przez to samo już, że państwo, posługując się temi środkami, może się stać pożyteczne innym klasom, może też w wysokim stopniu polepszyć warunki życia proletarjatu, a to na podstawie swego najlepszego prawa i bez ściągania na siebie oskarżeń o wdzieranie się w prawa cudze; właśnie bowiem troska o dobro ogółu stanowi obowiązek państwa". Żądał więc Leon XIII od państwa dbałości i zabiegów o pomyślność powszechną, przypominając, że to zależy nie tylko od nagromadzenia dóbr materjalnych, ale i od poszanowania i mnożenia walorów moralnych i religijnych w życiu społecznem. Samo też państwo tak powinno być urządzone i ukształtowane, że z jego już organizacji będzie wypływał dobrobyt publiczny i jednostkowy. Im wyższy zaś będzie ten dobrobyt w państwie, tem snadniej poprawi się i los robotników. Sama więc już dobra organizacja życia społecznego i gospodarczego poprawiać będzie ciężką dolę pracującej klasy, a tem samem i zmniejszać będzie potrzebę ściślejszej ingerencji państwa w szczegóły życia gospodarczego. Stąd więc jasnem jest, że maximum organizacyj społecznych odpowiadać będzie minimum interwencji państwowej, i że taki ustrój, nie krępując wolności i przedsiębiorczości obywatelskiej, jednocześnie nie będzie obciążał państwa nadmiernemi zadaniami wtrącania się w życie gospodarcze.

Ale jednocześnie w przekonywających słowach podnosi papież, że państwo, chcąc dobrze wypełnić swe opiekuńcze zadanie w stosunku do swych obywateli, ma się troszczyć o wszystkich, wielkich i małych, i to tak, by każdemu oddać to, co mu się należy. Szczególna jednak troska winna być skierowana przez państwo ku ochronie klasy robotniczej i jej interesów, czego też i sprawiedliwość wymaga. Robotnicy bowiem są także twórcami bogactwa państwowego. A z tego, co dostarczają społeczeństwu, i sami należną im część otrzymać powinni, — „iżby sobie zapewnili mieszkanie, odzienie i środki żywności, i by w ten sposób łatwiej mogli znosić uciążliwości życia. Państwo więc winno popierać wszystko, co w jakikolwiek sposób może polepszyć dolę robotników — w interesie bowiem państwa leży, aby nie byli narażeni na nędzę ci, którzy dla wszystkich wytwarzają dobra".

W dawniejszym ustroju liberalnym, a i dziś także, jedno tylko państwo może okazywać skuteczną pomoc słabym. Ale dopuszczając interwencję państwa, niepodobna zezwolić, by państwo pochłaniało jednostki i rodziny, czyniąc z nich tryby swej machiny. Jednostka i rodzina muszą mieć swobodę działania, dopóki nie zagrażają dobru powszechnemu, lub nie wyrządzają krzywdy bliźnim. Dlatego interwencja państwa w życie społeczne i gospodarcze powinna być ograniczona do wypadków koniecznych, w obronie interesu ogółu (moralności publicznej, spokoju i dobra publicznego),

albo przy zagrożeniu interesów jakiejkolwiek części składowych społeczeństwa, jak robotników, rolników, rękodzielników i t. d.

Wypadki jednostkowe, drobne załatwiane być winny w trybie normalnym (przez sądy i administrację).

Dlatego też Leon XIII wykazuje wypadki, wymagające wkraczania władzy państwowej, któremi są:

1) Ochrona własności prywatnej przed zamachami rozwichrzonych grup.

2) Obrona robotników przed wyzyskiem i krzywdą. Szczególnie umożliwienie robotnikom święcenia niedzieli i pełnienia obowiązków religijnych, oraz obrona godności i moralności robotników, ochrona zdrowia i sił robotników przed nadmiernie długą i uciążliwą pracą, iż duch tępieje, a ciało upada ze znużenia, — bo i siła robotnika do pracy ma granice określone, których nie może przekroczyć. Papież nie określa długości dnia pracy, pozostawiając to do rozstrzygnięcia miarodajnym czynnikom. Warto jednak zaznaczyć, że 8-io godzinnego dnia pracy domagał się już w Anglji kardynał Manning, a więc dużo wcześniej niż socjaliści. Postulat ten przyjęty został w Europie przez wszystkie państwa dopiero po wszechświatowej wojnie. Polska wprowadziła go już w 1919 r. po odzyskaniu niepodległości.

3) Ochrona rodzin robotniczych, kobiety i dziecka. Bo z natury przeznaczeniem kobiety jest być żoną i matką, stać na straży domu rodzinnego, jest to więc koniecznem tylko dziś „złem", że kobiety poza domem pracować muszą. Również i praca młodzieży nie może być taka, by niszczyła budzące się siły młodości i podcinała ją, jak słabą roślinkę, udaremniając całe dzieło wychowania.

4) Szczególnej obrony dla stanu robotniczego wymagają prawa do życia i utrzymania rodziny przez robotnika, a to wszystko zależy głównie od wysokości płacy. Dlatego przez Leona XIII został wysunięty postulat płacy rodzinnej z możnością czynienia oszczędności. Taka dopiero płaca będzie słuszna i sprawiedliwa. Dlatego powstało i żądanie określenia na drodze prawodawczej najniższej granicy słusznej płacy — *minimum*. Postulat ten mógłby być urzeczywistniony w trzech etapach. Przedewszystkiem zapewnienie robotnikowi otrzymywania pełnej przyjętej i umówionej płacy, wykluczając niedopłacania, wypłatę towarami, potrącania na różne cele itp. Dziś już umowa o pracę i płacę objęta jest opieką prawną. Powtóre ustalenie najniższej granicy płacy za pracę według możności rynków gospodarczych, poniżej której nie możnaby było zejść. I wreszcie w ostatnim etapie — ustalenie najniższej płacy rodzinnej, obliczonej na utrzymanie rodziny z 4—5 osób złożonej. Dla osiągnięcia tego mogłoby się przyczynić państwo przez odpowiednie ustawy i kontrolę, oraz społeczeństwo, głównie przemysłowcy, przez stworzenie odpowiednich instytucyj, jak „kasy wyrównawcze", działające już na terenie Francji, które czyniłyby dopłaty rodzinnym robotnikom, faworyzując jednocześnie liczniejsze rodziny robotnicze.

5) Ale gdy żyć może robotnik tylko z pracy, to stąd musi wyrastać dla jednostki i prawo do możności pracy. Gdy chrześci-

jaństwo świętem i nietykalnem uczyniło życie, to każdy i sposób do życia przez pracę mieć powinien. Nie może to prawo bezwzględnie obowiązywać państwo, że państwo każdemu obowiązkowo musi dać pracę. Bo tem samem i absolutnym panem gospodarki społecznej musiałoby się państwo stawać, co prowadzić by mogło do zniesienia samodzielności i inicjatywy prywatnej. Nie mniej ze wszystkich sił państwo zabiegać powinno o zatrudnienie bezrobotnych, względnie o pomoce dla nich do przeżycia czasu bezrobocia, gdy sami zaradzić sobie nie mogą. Trudny i ciężki ten obowiązek w obecnych czasach kryzysu gospodarczego wszystkie też państwa i samorządy podjęły, według swych możliwości łagodząc to bolesne niedomaganie społeczne.

Powyższe jednak zalecenia encykliki R. N. są tylko tymczasowemi środkami do poprawy bytu klasy robotniczej, bo celem, który należy osiągnąć, jest według Leona XIII rozszerzenie prywatnej własności na jak najszersze koła klasy robotniczej, uwłaszczenie mas najbiedniejszych. Przyczyni się to i do pokoju społecznego, gdy zanikną przepaście dzielące ubogich od bogaczy, i do wzmożenia produkcji, gdy wraz i każdemu będzie jego cząstka przyrastać, a tem samem i do pomyślności ogólnej.

Niepodobna było oczekiwać, by poprawę bytu robotniczego dokonał sam świat przemysłowców. Świat ten jest przecież złożony z różnych narodowościowych elementów, skłócony i rywalizujący między sobą nawet w łonie jednego i tego samego państwa, i nastawiony na zysk, który przecież powstaje, gdy od robotnika otrzyma się największą sumę pracy, a wynagrodzi go się najniższą możliwie płacą. Najszlachetniejsze i najofiarniejsze jednostki świata przemysłowego rzeczy zmienić by nie mogły, bo zmiotłaby ich konkurencja. Musiały więc państwa zająć się naprawą ciężkiego położenia robotników. I to wykonać mogą: przez tworzenie najkorzystniejszego ustawodawstwa robotniczego oraz przez rozwijanie ubezpieczeń i zabezpieczeń robotniczej klasy od złej doli. Na drodze tej szczególnie po wojnie świat poszedł daleko. I pewnie coraz bliższe są tego celu, aby stać się państwami społecznemi.

I w Polsce naszej uregulowania sprawy robotniczej nie można było oczekiwać od świata przemysłowego. Obrady w senacie nad budżetem ostatnim okazały, że w naszym przemyśle poważną rolę gra kapitał zagraniczny, który na 1 stycznia 1938 roku wynosił 42,9 procentów. Na drugiem miejscu stoi kapitał żydowski, niema danych dla zobrazowania wielkości tego kapitału, ale oczywistość okazuje, że stanowi on znaczną większość w handlu, rzemiośle i przemyśle, istniejący tylko poza formą spółek akcyjnych. Dopiero na trzeciem miejscu stoi kapitał polski. Świat ten w dużej mierze pozostaje pewnie obcym dla doli polskiego robotnika. Polska więc po odzyskaniu wolności za najpierwszą ze spraw uważała ochronę klasy robotniczej i pod względem ochrony pracy przoduje już w Europie. Polska więc już myśl ustawodawcza stworzyła „Kodeks Pracy”, w którym wzgląd na dobro gospodarstwa społecznego decyduje o prawach i obowiązkach stron. A praca, która jest naj-

cenniejszem dobrem w społeczeństwie, poczęła znajdować najstaranniejszą i najtroskliwszą opiekę prawną w naszem państwie. Dużo nasz „Kodeks Pracy” daje już robotnikowi, daje wszystko chyba, na co w tej chwili stać państwową naszą gospodarkę, ale należy mu się jeszcze znacznie więcej. Daleko nam jeszcze do mety, którą wskazują papieskie encykliki społeczne. Spocząć nie możemy, aż Polska zostanie odproletaryzowana.

VII.

ZWIĄZKI ZAWODOWE.

Trzeba dążyć do wprowadzenia w życie sprawiedliwości społecznej, trzeba pracować, by możliwa pomyślność stała się udziałem wszystkich, a przedewszystkiem klas dziś upośledzonych. Nic jednak nie da się zrobić dla ludzi bez ludzi. Więc i naprawa złego stanu klasy pracującej wymaga również pracy i udziału ze strony robotników. Wysiłki poszczególnych jednostek nie wiele by sprawiły, trzeba celowego i zorganizowanego czynu całej klasy robotniczej. Dawniej liberalne państwa nie dopuszczały możności stowarzyszeń. Dlatego to obrońcą prawa zrzeszania się stał się Leon XIII, a zarazem propagatorem związków robotniczych dla pracy nad polepszeniem doli robotniczej. Pisze więc w encyklice R. N., że dla sprawy robotniczej wiele uczynić mogą sami pracodawcy i pracownicy za pośrednictwem tych urządzeń, które pomagają potrzebującym i klasy społeczne do siebie zbliżają. Należą tu towarzystwa wzajemnej pomocy, różne instytucje, powstałe z inicjatywy prywatnej, które mają na celu zabezpieczyć pracowników, ich wdowy i sieroty w razie śmierci, choroby lub wypadku nieszczęśliwego, — stowarzyszenia opiekujące się młodzieżą obojga płci i starszymi. Naczelne jednak miejsce zajmują *związki pracowników*, które prawie wszystkie te działania obejmują. Potrzebne i pożyteczne są, bo — brat, który bywa wspomagan od brata, jako miasto mocne jest. A prawo do stowarzyszania się dla wzajemnej pomocy i obrony wypływa dla wszystkich z natury rzeczy, z którego i państwa powstały, i którego stróżami winny też być państwa. Państwo może jeno zakazywać stowarzyszeń, lub je rozwiązywać, gdyby stowarzyszenia na mocy swego statutu dążyły do czegoś, co się kłóci z moralnością, sprawiedliwością i dobrem państwa.

Państwa jednak liberalne nie zawsze były życzliwe dla religji katolickiej. Wbrew więc sprawiedliwości i słuszności zwalczały i rozwiązywały wiele organizacyj religijnych, jak stowarzyszenia, bractwa czy zakony, powagą Kościoła powołane, choć służyły one najszlachetniejszym celom, zasługiwały przeto na opiekę i szacunek. Wyrządzono im jednak wiele krzywd, krępując ich działalność pętami praw cywilnych, zabierając im majątek, uniemożliwiając im spokojną i ze wszech miar użyteczną pracę w społeczeństwie. Natomiast wolnością darzono ludzi, dążących do celów zarówno dla religji, jak i dla państwa niebezpiecznych. Wolnością tedy cieszył się duch niewiary, gdy Kościół i czyn katolicki były krępowane.

Dlatego uznanie i wolność znajdowały stowarzyszenia, nieprzyjazne duchem dla chrześcijaństwa i dobra pospolitego. Do rzędu tego należały i liczne związki robotnicze, mające zasady niezgodne z chrześcijaństwem i dobrem państwa. Bardzo ważną jest sprawa ideowa nastawienia tych związków, ku czemu dążą. Czy chcą naprawy i wzmocnienia ustrojów społecznych, czy ich ruiny. Opanowanie za pośrednictwem związków rewolucyjnych klasy robotniczej tworzyłoby wielkie niebezpieczeństwo społeczne.

Ponadto związki te, opanowawszy warsztaty pracy, na karę nędzy skazywały robotników, którzy do nich przyłączyć się nie chcieli. Katolicki więc robotnik znajdował się nieraz w sytuacji przykrej, albo musiał wbrew sumieniu dla uzyskania pracy przystępować do związków niebezpiecznych dla religji i społeczeństwa, albo należało zakładać nowe stowarzyszenia, by wydostać się z niesprawiedliwej i nieznośnej niewoli. Oczywiście musiało być wybrane to drugie, musiały więc powstawać katolickie związki robotnicze, chroniące wiarę i sumienie robotników, a zarazem obstające za dobrem klasy robotniczej. I dziś także ta sama sytuacja istnieje. Komunizm czy socjalizm dla osiągnięcia swych rewolucyjnych celów jako narzędzia potrzebuje koniecznie zawodowych związków robotniczych. Robotnik więc katolicki, który nie chce przyczyniać się do zwalczania religji i rozbijania społeczeństwa przez walkę klasową, musi posiadać swoje katolickie związki.

A gdy słuszne cele stawiają sobie związki do osiągnięcia, to państwo, mówi papież, winno zaopiekować się temi związkami, opartemi na prawie, i niech się nie wdziera w ich wewnętrzne sprawy, życie bowiem tryska z wewnętrznych źródeł, a łatwo zamiera pod działaniem wpływów postronnych. I dla godziwych swych zadań muszą też mieć wolność także — wyboru statutów i regulaminów, które im się wydadzą najodpowiedniejszemi dla celów stowarzyszenia. Głównem zaś ich zadaniem winno być, by — członkom w swoich granicach możliwości dostarczały środków najstosowniejszych i najskuteczniejszych do osiągnięcia celu, którym jest: pomyślność stowarzyszonych w zakresie dóbr duchowych, cielesnych i materjalnych. Winny więc służyć dobru duszy, ciała i osiąganiu przez członków potrzebnych im dóbr materjalnych. A podnosząc w kulturze i dobrobycie klasę pracującą, tem samem umacniać będą pokój i spoistość społeczeństwa.

Potrzebuje to, by praca związków dla robotnika była wychowawcza. Pierwszorzędnem też zadaniem związku powinno być udoskonalanie religijno-moralne członków. Jeśli bowiem społeczeństwo dla prawidłowego zdrowego życia potrzebuje ożywczego ducha chrześcijańskiego, to ten duch powinien przenikać każdą komórkę społeczną, a więc i związki. Bo to duch solidarności i sprawiedliwości społecznej, duch zgody i jedności, który społeczeństwom moc i żywotność nadaje. Naturalnie społeczeństwo musi wymagać, by tym samym duchem był ożywiony i pracodawca, aby mogła powstać harmonja między pracą i kapitałem. Zorganizowany też robotnik musi być obrońcą swych praw, budowniczym lepszej po-

myślności dla klasy robotniczej, musi umieć godzić swe żądania z dobrem narodu. Dlatego musi rozumieć stosunki czasu i prądy społeczne, musi znać stosunki i możności gospodarcze swego kraju, musi być wiernym dobru swej klasy, a to wszystko wymaga wyższej dojrzałości duchowej z jego strony. Naturalnie że w świat tych zagadnień, na prawowitą drogę do walki o lepszy ustrój, winien robotnika wprowadzać związek. Podnoszenie tedy kultury duchowej robotniczego świata musi być kapitalną pracą związków robotniczych.

Oświatowa praca wśród robotników prowadzona też jest i przez oddzielne katolickie stowarzyszenia kulturalne, jednak ze względu na mnożenie wśród członków także kultury religijnej według swego kultu, z reguły muszą te stowarzyszenia pozostawać czysto wyznaniowemi. Dla obrony zaś interesów gospodarczych i zawodowych muszą istnieć znów oddzielne zawodowe związki robotnicze, które ze względu na swe cele gospodarcze mogą dopuszczać na swych członków także i niekatolików — chrześcijan. Praktyka taka znajduje uznanie Piusa XI w enc. Q. A.

Zawodowe związki robotnicze muszą skupiać robotników każdego zawodu oddzielnie, organizując ich czyto przy każdej fabryce czy też związkowe dla wielu fabryk tego samego przemysłu. Ich zadaniem musi być ziszczenie potrzeby, podniesionej przez Leona XIII, by z tego, co dla dobra publicznego wytwarzają, należną im cząstkę do pomyślnego życia otrzymali, boć sprawiedliwość wymaga, by każdemu oddać to, co mu się należy. Mają więc dążyć do uzyskania słusznych płac dla robotników, oraz otoczyć ich obroną w czasach pracy i zarobkowania, a także wspomagać w przypadkach bezrobocia, choroby, inwalidztwa czy starości. Wiele też już z tych ostatnich zadań przyjęły na siebie dobrowolnie państwa. Związek zawodowy jest więc stałem zrzeszeniem robotników, którzy stawiają sobie za cel bronić lub polepszać warunki swej pracy. Naturalnie na swą akcję musi czerpać fundusze ze składek członkowskich, czy pomoce od ludzi dobrej woli.

Liberalizm błędnie twierdził, że przedsiębiorca i robotnik to dwa równorzędne czynniki, które stosunki między sobą mają regulować w o l n ą u m o w ą o pracę. Nie mogło być wolności, gdzie podaż rąk do pracy przewyższała potrzebę, a robotnik goniony nędzą każde warunki płacy przyjmować musiał, choć dalekie były one od słuszności. I to właśnie doprowadziło do wtrącenia w nędzę klasy pracującej. Jej kosztem mogli bowiem przemysłowcy ciągnąć nadmierne zyski lub też dla konkurencji obniżać handlową cenę towaru, odbijając sobie straty przez możność obniżek zarobków robotniczych. Przeciwko tej stałej możności krzywdzenia robotnicy musieli się bronić. Nie mogąc liczyć na państwo, jąć się musieli samoobrony, zrzeszając się w związki zawodowe. Mocny fabrykant musiał wtedy zawierać umowę z silną i solidarną organizacją robotniczą, wraz z nią musiał już współdziałać i ustalać warunki płacy i pracy.

Umowy zawierane przez związki mogły być pojedyńcze, gdy je zawierano z jednem przedsiębiorstwem, należącem do jednego właściciela. Lub też są zbiorowe, zwane także taryfowemi, gdy się je zawiera ze wszystkimi pracodawcami, czy zrzeszeniem pracodawców w danym okręgu w jednej i tej samej gałęzi przemysłu. Ze względu na niestałość konjunktury są zawierane na krótkie okresy produkcji. Umowy zbiorowe naprzód zapoczątkowane zostały w Anglji, skąd zaczęły się rozszerzać na inne kraje. Dają one większe zabezpieczenie i możność osiągania korzystniejszych warunków przez robotników. Korzystne są i dla fabrykantów, którzy na okres produkcji mają możność ustalać stałą kalkulację. Jeśli umowy takie obejmują całą gałęź produkcji w państwie, to uniemożliwiają nieuczciwą walkę konkurencyjną między fabrykami. Pozwalają więc robotnikom stać się równorzędnymi czynnikami wobec fabrykanta, fabrykantowi nie zezwalają być dyktatorem, jednostronnie narzucającym robotnikom warunki pracy. Wprowadza to ład i planowość w dziedzinę produkcji. Nasze polskie prawodawstwo daje możność zawierania umów zbiorowych.

Drugą korzyścią, jaką związek świadczyć może swym członkom, jest interwencja u fabrykantów w obronie robotnika oraz obrona prawna. W dążeniu bowiem do zachowania swych uzyskanych uprawnień nieraz robotnicy mogą być ograniczani i krzywdzeni w ustalonych warunkach pracy i płacy, lub spotykać zakusy do zmniejszania zagwarantowanych im zdobyczy. Dla takich wypadków związek organizuje zawodową pomoc i obronę prawną robotnika. Pomoc ta prawna może dotyczyć albo tylko spraw, wynikających tylko ze stosunków umów o pracy, lub też i rozszerzana być może i na prywatne stosunki robotnika.

Jeszcze innym bólem robotnika jest niestałość jego warunków życiowych. Żadne przedsiębiorstwo nie zawiera z nim umowy na całe życie, nie zagwarantuje mu stałych zarobków. Każda nowa kampanja przemysłowa może usiłować pomniejszyć jego warunki zarobkowe. Organizacja więc robotnicza musi być zawsze gotowa do walki i obrony bytu i praw robotnika. Najpotężniejszą i ostateczną bronią robotnika może być tylko strejk, zwłaszcza przed zawieraniem nowych umów. W zasadzie ma swoje uzasadnienie. Już kardynał Manning usprawiedliwiał go następująco: Człowiek ma prawo i wolność pracować za sprawiedliwą płacę, i nie pracować, jeśli jej nie dostaje. Ludzie jednego zawodu mają prawo łączyć się dla domagania się sprawiedliwej płacy. Gdy im się tej płacy odmawia, to mają prawo przestać pracować czyli strejkować. Usprawiedliwionym więc być może pod następującemi warunkami: 1) o ile ma strejk cel godziwy, 2) o ile jest konieczny z powodu nieskuteczności innych środków, i 3) o ile nie narusza sprawiedliwości w swym przebiegu. Jest też dziś ulegalizowanym przez państwo, jako prawny środek walki. Broń ta jest jednak obosieczna. Zadaje szkodę nie tylko fabrykantowi, ale i robotnika wyczerpuje gospodarczo. Łatwo też bywa strejk przez robotników przegranym, jeśli brak im zasobów ku dłuższemu przetrwaniu.

Targa też gospodarcze życie kraju, przynosząc nieraz wielkie szkody. Dlatego też powinnością władz państwowych jest im zapobiegać przez pojednawstwo lub arbitraże. Naturalnie usprawiedliwienie dotyczy tylko strejków o celach ekonomicznych, bo wywrotowo-polityczne będą jeno nadużyciem.

Oprócz państwa, które przez należyte ustawodawstwo robotnicze wielce może dolę robotnika polepszyć, potrzebne jest i współdziałanie samorządów lokalnych. Samorządy mogą usunąć wiele niedomagań miejscowych, co nieraz będzie nieprzystępnem dla państwa. Ale zarówno na tworzenie ustawodawstwa robotniczego, jak i na poczynania miejscowej akcji pomocniczej dla robotniczego stanu wielki wpływ ma przychylna postawa społeczeństwa, a także jej nieraz dobrowolna akcja w świadczeniu pomocy dla robotników. Stąd też zdobycie opinji społecznej dla poparcia żądań i potrzeb robotniczych ma doniosłe znaczenie. Trzeba przecież, by opinja uznała złe położenie robotników za krzywdę, za objaw zły i niemoralny, i poparła wszystkie wysiłki ku zgładzeniu tej bolączki społecznej. Otóż związki wiele mogą zrobić dla przebudzenia się sumienia społecznego, i uzyskania jego poparcia dla rozwoju ustawodawstwa robotniczego ku dobru robotniczemu. Prasa, żywe słowo, zyskiwanie stronnictw, posłów — to środki do celu wiodące.

Ale wraz i robotnik musi zdobyć nie tylko potrzebne uświadomienie o swych prawach, ale także i o obowiązkach. Musi okazać się czynną siłą, solidaryzującą się z dobrem społeczeństwa. Hasła, ożywiające społeczeństwo, powinny i jego drogom przyświecać. Musi mieć ambicję stać się podporą gospodarczej mocy i dobrej doli swego społeczeństwa. A to wymaga, by przez związek był odpowiednio wychowany. Przez zgromadzenia, konferencje, kursy, czytelnie, bibljoteki oraz zawodową prasę zadanie to związki robotnicze wypełniać mogą.

Zadania powyższe mogą spełniać tylko związki mocne i zasobne, zjednoczone, obejmujące cały kraj, a nawet zachodzi potrzeba kontaktu międzynarodowego między związkami dla ujednostajnienia akcji. Bo każda nowa koncesja dla robotników, obciążająca tylko jeden kraj, może podcinać przy konkurencji jego zdolność produkcyjną. Prace też związków muszą być nastawione na twórczą pracę dla dobra zarówno ojczyzny jak i narodowego świata pracy. Olbrzymi więc czyn stoi przed związkami zawodowemi — stworzyć szczęśliwą w dobrobycie i uświadomioną narodową siłę z klasy robotniczej. A w ten sposób przyczynić się nie tylko ku rzetelnemu dobru klasy robotniczej, ale również i do uzdrowienia dzikich stosunków, wytworzonych przez liberalizm w gospodarce narodowej, oraz do pomnożenia zgody i pokoju społecznego.

Ale by to osiągnąć, pracom związków musi przyświecać ten jedyny cel: zdobycie dobrej doli dla robotnika. Gdy zaś klasowe związki, idąc za nauką Marksa, zarazem głoszą walkę klas i dążenia do rewolucyj społecznych, to tem samem wynaturzają cały ruch, co jedną ręką budują, to drugą burzą. Jakże bo może być

dobrze robotnikowi w domu, którego ściany własnemi rękami ma rozwalać! Walki więc klas i rewolucje społeczne winny być wykreślone z programu związków zawodowych.

Dziś tedy wśród robotników operują dobre i złe siły. Złe usiłują go użyć za narzędzie do rozsadzania społeczeństw, zatraty narodowej i poddania siebie i innych w niewolnicze jarzmo socjalistycznego czy komunistycznego państwa. Kościół, najwierniejszy przyjaciel człowieka, wskazuje robotnikowi najwłaściwszą drogę. Na niej zachowa i znajdzie: godność i wolność obywatelską, społeczne braterstwo z innemi klasami, oraz takie przebudowanie gospodarki społecznej, by w niej robotnik stał się współwłaścicielem, współrządcą warsztatów pracy oraz współtwórcą narodowego dobra. Na tę drogę trzeba robotnikowi jak najrychlej wkroczyć dla swego i narodowego dobra. Hasłem katolickiego świata robotniczego powinno być: Proletarjusze — łączcie się w Chrystusie dla naprawy organizacji społeczeństw i wprowadzenia w ustroje zasad sprawiedliwości społecznej.

KRONIKA.

Stany Zjednoczone Ameryki Półn. Największa bolączka katolickich ambon.

»Kazalnica Popularna« (1939, z. 2, 357), kwartalnik, redagowany w Ameryce w pol. sem. duch. (Orchard Lake), a drukowany u nas w Łucku, przytacza z amerykańskiej gleby następujący charakterystyczny głos, który wskazuje największą bolączkę katolickich ambon nie tylko w »Nowym Świecie«...

»Najlepszy znawca kaznodziejstwa amerykańskiego, ks. prałat Henry, profesor homiletyki na uniwersytecie katolickim w Waszyngtonie, oświadczył niedawno w jednym z artykułów swoich w amerykańskim Przeglądzie Homiletycznym (The Homiletic and Pastoral Review), co następuje: »Kazania głoszone po kościołach naszych w Ameryce są naogół złe. Niedziela po niedzieli parafjanie wysłuchują bezmyślnych, niestarannie przygotowanych przemówień, które nie byłyby tolerowane przez żadne inne audytorjum na całym świecie«.

Londyn. Rekolekcje w parku Hyde-Park.

W ciągu Wiel. Tygodnia odbywały się w Hyde-Park pod gołem niebem rekolekcje, prowadzone przez wybitnych kaznodziejów angielskich.

Paryż. Zgon o. Janvier, kaznodziei Notre Dame w Paryżu.

W Lavallois-Perret pod Paryżem w szpitalu sióstr dominikanek zakończył życie po dłuższej chorobie w dniu 28 kwietnia b. r. znakomity kaznodzieja, o. Janvier, dominikanin. Urodzony w 1860 r. o. Janviez wstępuje w r. 1879 do zakonu i otrzymuje święcenia kapłańskie w r. 1884. Przez szereg lat wykłada filozofję w kolegjum t. zw. College des Etudes Generales prowincji dominikanów we Francji. Po raz pierwszy wygłasza o. Janvier swoje kazania, które tyle mu sławy przyniosły, w r. 1889. Od r. 1902 zajmuje w katedrze Notre Dame w Paryżu miejsce, zajmowane przedtem przez złotoustego kaznodzieję o. Lacordaire. Przez ćwierć wieku niemal wygłasza swe wzniosłe i piękne zarówno co do myśli jak i co do formy kazania z katedry N. Dame. Kazania te zostały następnie zebrane pod ogólnym tytułem »Moralność katolicka« i wydane w wielu tomach. Zmarły kaznodzieja prócz tego jest autorem licznych prac, jak »Działalność intelektualna i polityczna Leona XIII we Francji«, studjum o myślicielu Taine i wiele innych. (KAP. 5. V. 1939).

Rennes. Konferencje o. Coulet.

Zwyczajem dorocznym wygłosił o. Coulet w kościele katedralnym w Rennes dn. 1 — 5 maja serję konferencyj apologetycznych, przeznaczoną dla mężczyzn. W tym roku omawiał temat: Komunizm a katolicyzm — posłannictwo chrześcijańskie. W pięciu kolejnych konferencjach omówił następujące tematy: katolicyzm a tendencje komunistyczne — wyzwolenie robotnika — królestwo sprawiedliwości — społeczeństwo bratnie — nowy człowiek. Tę samą serję wygłosił następnie dn. 8 — 12 maja w kościele katedralnym Sain-Malo.

Warendorf i. W. Zawieszenie kaznodziejskiego pisma »Ekklesia«.

Berliński urząd tajnej policji zabronił wydawania kaznodziejskiego pisma p. t. »Ekklesia«, Werkblatt für zeitgemässe Predigt — i zarządził konfiskatę drugiego zeszytu (za luty) b. r. Pismo to ukazywało się od lat 11, wydawane w Warendorfie przez O. Hub. Reinartz OSC., z udziałem księży: dr. Funke, B. Steinmetz, dr. A. Birner, J. Kühnel, Felix Krajewski.

Warszawa. Stacje radjowe zwiększają ilość audycyj religijnych.

Coraz bardziej rosnąca nawet w społeczeństwach niekatolickich i niechrześcijańskich świadomość siły moralnej katolicyzmu i jego niezaprzeczenie wielkiej roli w społeczeństwie współczesnem sprawia, że na falach radjowych coraz częściej spotyka się audycje katolickie. Pomijając oficjalną stację nadawczą watykańską oraz transmisje, nadawane przez własne katolickie organizacje radjowe, jak R. Katholieke Radio Omroep w Holandji, Radio Catholique (Bruksela) i Katholieke Vlaamsche Radjo Omroep (Lowanjum) w Belgji, katolickie stacje radjowe w Stanach Zjednoczonych A. P., Brazylji i Urugwaju, dużo miejsca dla transmisyj katolickich rezerwują stacje radjowe w Polsce, we Francji, Irlandji i narodowej Hiszpanji, Portugalskie »Radio Renascença« oddało oficjalnie do dyspozycji Kościoła swoją rozgłośnię na wszelkie potrzebne okazje transmisyj katolickich. Radjo duńskie transmituje audycje katolickie z okazji siedmiu największych dorocznych uroczystości kościelnych. Dla audycyj katolickich znajduje czas również radjo angielskie. W Indjach Holenderskich (w Batawji) powstało specjalne katolickie towarzystwo radjowe. W Kongo w Leopoldwille istnieje misyjna radjowa stacja nadawcza. Nawet w Chinach rządowa stacja radjowa w Hongkong przyrzekła transmisje katolickie w języku chińskim. (KAP. 29. III. 1939).

Warszawa. Odczyt o ks. arcbp. Teodorowiczu jako kaznodziei.

Dn. 4 marca w sali odczytowej Domu Katolickiego im. Piusa XI w Warszawie odbył się wieczór literacki Zjednoczenia Polskich Pisarzy Katolickich, poświęcony pamięci ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Na wieczór przybył JE. ks. biskup Antoni Szlagowski, członkowie Zjednoczenia oraz liczna publiczność. Zebranie zagaił prezes

Z. P. P. K. p. sen. Miłaszewski. Następnie dr. Stanisław Stroński, prof. KUL. wygłosił odczyt p. t. »Arcybiskup Teodorowicz, kaznodzieja, pisarz, obywatel«. Znakomity mówca stwierdził, że ś. p. Arcybiskup zamyka długi pochód kaznodziejów polskich, począwszy od głosicieli kazań świętokrzyskich i gnieźnieńskich, Grzegorza z Sanoka, Skargi, Birkowskiego, Starowolskiego, Woronicza i Kajsiewicza. »I nie będzie przesady, gdy powiemy, że od czasów Skargi arcybiskup Teodorowicz był największym kaznodzieją Polski«. Gdy Skarga w natchnieniu wołał: »niezgoda powiedzie was w niewolę, będziecie bez królestwa, bez Ojczyzny, wygnańcy wszędzie«, arcybiskupowi Teodorowiczowi dane było zwiastować zmartwychwstanie Polski. Na rocznicę powstania styczniowego, przed wybuchem wojny kazał: »nie sądźmy naszych poprzedników, ale myślmy o tem, czy jesteśmy zdolni do takich jak oni poświęceń«. W 1916 r. powołał się na przykłady z Pisma św. i mówił o tych »co pyszni zostali upokorzeni« i śmiało oskarżał władców, ciemiężących Polskę. W kazaniu zaś na otwarcie pierwszego Sejmu polskiego uczył, by w duszach polskich nie zaciążyły dawne błędy nierządu i bezprawia.

Kazania »O cudzie Wisły«, »O przyłączeniu Wilna«, o władzy opartej na prawie, »O państwie chrześcijańskiem i pogańskiem« dawały pełny obraz i odczucie chwili. Słowa jego poruszyły i budziły sumienie. Jako dzieła pisarskie kazania ś. p. Arcybiskupa łączyły głębię myśli z rzetelną pracą i źródłowością. Wielki kaznodzieja przygotowywał je sumiennie i szlifował.

Miarą jego talentu i wiedzy jest ostatnie niedokończone dzieło »O Jezusie Chrystusie«, wynik długich, bo 30-letnich mozolnych badań źródłowych. Bije z niego niesłychana prostota ujęcia postaci Chrystusa, wszystkiego tego, co było ludzkie i co było boskie.

Ś. p. arcybiskup Teodorowicz był czynnym i gorącym patrjotą. Nie zadawalały go wąskie koncepcje polityczne Bobrzyńskiego. Był on duszą Episkopatu Polskiego. Jego pióra w r. 1915 był słynny list pasterski do biskupów całego świata, że jest jedna, dążąca do zjednoczenia Polska. W 1917 r. w austrjackiej Izbie Panów nie zawahał się rzucić rękawicy przewrotnej antypolskiej polityce niemieckiej i austrjackiej. Narażał się na szykany i groźby.

W Sejmie Ustawodawczym w Warszawie był ś. p. arcybiskup Teodorowicz wcieleniem idei łączności Polski z Kościołem. Niema prawa polskiego — wołał — bez oparcia o katolicyzm. »Był on wielkim dzwonem naszego pokolenia — kończy prelegent — »jak Zygmunt, który bije w chwilach wielkich, a gdy on bije, biją wszystkie serca polskie«.

W dalszym ciągu przemawiał ks. Wądołowski, który na tle własnych wspomnień zaznaczył, że wielkość arcybiskupa Teodorowicza przejawiała się również w codziennem osobistem życiu. Wielki myśliciel czerpał moc z modlitwy i kontemplacji. Duszpasterz dobry, umiał zdobyć, rozbroić każdego. Toteż wiele ludzi szukało u niego rozwiązania dręczących życiowych zagadnień. On otwierał dusze ludzkie delikatnie, wyzwalał je z pod ciężaru grzechu, wlewał w nie moc nadprzyrodzoną, otuchę i nadzieję. Autorytet arcybiskupa Teo-

dorowicza był wielce ceniony i zagranicą. Współpracował z Foersterem, wywierając silny wpływ na jego twórczość, oraz często stykał się z dostojnikami Kościoła, jak kardynałem Mercier i Baudrillartem. Był wielkim i świętym mężem. Taki pozostał u ludzi, z którymi się stykał, taki też pozostanie w historji.

W końcu p. Irena Pannenkowa na podstawie cytat z kazań i dzieł arcybiskupa Teodorowicza podała głęboki jego pogląd na psychikę polskiego społeczeństwa. Jego zdaniem »Polakami trudno rządzić — to nie prawda, trzeba im pozwolić żyć w najlepszych duchowych, religijnych tradycjach, pozwolić samorzutnie iść naprzód, trzeba nie jątrzyć serc i oprzeć je na wzajemnem zaufaniu«.

(KAP 7. III. 1939).

Poznań. Nowe wydawnictwa kaznodziejskie księg. św. Wojciecha.

Nakładem księgarni św. W. pojawiły się dwie nowe publikacje kaznodziejskie: 1. Wybór pism kaznodziejskich kardynała Jana Henryka Newmana — przetł. K. Nawratilowa, str. VIII — 227, cena 4 zł.; 2. Ks. Alojzy Liguda S. V. D., Chleb i sól — homilje i rozważania na tle niedzielnych ewangelij, str. 349, c. 5,50 zł.

Kraków. Nowe przekłady kazań bpa Prohaszki i bpa Totha.

Nakładem ks. dr. Ferdynanda Machaya (Związek Górali Spisza i Orawy — Kraków, Kościuszki 88) pojawiły się nowe przekłady wybitnych kaznodziejów węgierskich: biskupa Ottokara Prohaszki — Pochód Ducha Świętego (cena 7 zł. brosz., 9 opr.), oraz bpa Tihamera Totha »Ojcze nasz« t. 1 — w przekładzie Roberta Ole'ara (cena 6 zł. brosz., 8 opr.). W druku zaś są dalsze przekłady: bpa Totha: Kazania o Najśw. Sakramencie, »Dekalog« 2 tomy (w trzeciem wydaniu) oraz podręcznik pasterski »Opieka duchowa nad młodzieżą«. Ponadto bpa Prohaszki tom trzeci »Słowa żywota«.

Kraków. Ks. mgr. Henryk Weryński obchodzi w tym roku 25-lecie swej działalności pisarskiej. W ciągu tego okresu czasu ruchliwa umysłowość księdza magistra znalazła ujście w różnych kierunkach tej działalności: publicystyka, zagadnienia ascetyczne, pedagogika (»Swiatopogląd religijny młodzieży«), ale przedewszystkiem kaznodziejstwo. Nie będziemy tu wyliczali prac kaznodziejskich autora, gdyż różne one były i znane są naogół wszystkim, czyto pasyjne przemówienia, czy kazania na niedziele i święta (w obecnym zeszycie recenzja drugiego wydania »Niedzielnej Siejby«), czy okolicznościowe mowy, konferencje radjowe i t. d. Kazania ks. Weryńskiego cechuje polot, giętkość i potoczystość słowa, literackość formy, a przytem siła przekonania i zdrowa, trzeźwa myśl. Na dalsze jak najdłuższe lata zbożnej pracy dla dobra dusz nieśmiertelnych — szczęść Boże!

RECENZJE.

Ks. Henryk W e r y ń s k i, **Niedzielna Siejba** — wydanie drugie — nakładem SS. Służebnic Najśw. Serca Jezusowego, Kielce — Karczówka 1938.

Pierwsze wydanie »Niedzielnej Siejby« w ciągu niespełna dwóch lat zostało wyczerpane. Jest to najlepszy dowód poczytności książki, która się obecnie ukazała w drugiem niezmienionem wydaniu, by nadal zaspokajać potrzeby naszej ambony polskiej. Recenzje wydania pierwszego, jakie się ukazały w »Ateneum Kapłańskiem« (1936, 38, 326 nn.), »Przeglądzie Homiletycznym« (1936, 177 nn.), »Homo Dei« (1936, 177 nn.), »Sodalis Marianus« (1936), »Wiara i Życie« (1936— maj), »Gazeta Kościelna« (1936) i w innych czasopismach diecezjalnych — były bardzo pochlebne. Toteż byłoby rzeczą zbyteczną powtarzać je w całości. Ograniczę się tylko w tem miejscu do zaznaczenia, że kazania ks. Weryńskiego zarówno doborem treści, jak i pięknością formy całkowicie odpowiadają wymaganiom czasów naszych.

Tematy w »Nowej Siejbie« są bardzo aktualne zarówno negatywne (pokusy, grzech, pokuta, śmierć i t. p.), jak i pozytywne (radość, ufność, wiara, obowiązek, pokój, sakramenta i t. p.). Przytem wśród nich przeważają zagadnienia współczesne, jak np. nowoczesny poganizm, stosunek do państwa, sprawa rodziny, szkoły, prądów pedagogicznych i t. p. Chociaż nie znajdujemy tematu o akcji katolickiej, ale Autor mówi o niej prawie na każdej stronicy i zmierza do jej rozbudzenia i pogłębienia. Najszczytniej mówi o miłości Boga i miłości bliźniego oraz o czci Najświętszego Sakramentu.

Układ kazań poszczególnych jest bardzo przejrzysty i łatwy do zapamiętania. Podziały są naturalne, a przejścia od jednej części do drugiej rzeczowe i logiczne, chociaż czasami raptowne. Wstępy przeważnie proste (niekiedy tylko uroczyste), a w domówieniu znajdujemy zwykle jakiś przykład krótki, ilustrujący całość mowy. Cytaty Pisma św. są przeważnie klasyczne i dowodzące wprost daną prawdę. Nadto znajdujemy tu liczne cytaty pisarzy zarówno religijnych (Meschler, Pascal, Faber i t. p.), jak i świeckich (Prus, Żeromski, Słomka i t. p.), które przyjemnie zaprawiają przemówienia i uprzystępniają je dzisiejszym słuchaczom. Atoli razi za obfite przytaczanie poetów i ich wierszy, któremi często kończy się przemówienie.

Jedność myśli w kazaniu nie zawsze jest przestrzegana, wskutek czego poruszane zagadnienia nie są wyczerpywane do końca, a tylko czasami lekko — jak gdyby w przelocie — dotknięte i pozostawione słuchaczom do samodzielnego przemyślania i uzupełnienia. Stąd wynika, że Autor ma na względzie raczej słuchaczy urobionych

i przygotowanych, u których chce tylko »obudzić w przelocie, co uśpione, — podrywać do lotu, co osiadło na chwilę w przyziemnych rozłogach, — zachęcać do czynu i walki tych, co swą religijność chcieliby przedrzemać w bezczynie jałowym«. Toteż przy korzystaniu z »Niedzielnej Siejby« na wsi należy niektóre ważniejsze zagadnienia poruszane w kazaniach więcej rozwinąć, pomijając inne mniej ważne, które Autor porusza ubocznie.

Współczesność zagadnień, jasność dyspozycji na początku kazania, potoczystość języka w pięknej nowoczesnej formie oraz umiar we wszystkiem i należyta proporcja nadają poszczególnym kazaniom jak i całemu zbiorowi »Niedzielnej Siejby« charakter aktualności, praktyczności, jasności i oryginalności — cech rzadko spotykanych u jednego autora. *Ks. M. Sopoćko.*

Ks. dr S. Sobalkowski, **Pomóżmy dźwigać krzyż Chrystusowi.** (Kazania pasyjne uwzględniające hasło o wprowadzeniu w życie uchwał pierwszego Plenarnego Synodu Polskiego). Odbitka z Nowej Bibljoteki Kaznodz., Poznań 1939, księg. św. Wojciecha.

Kazania, stojące na tak wysokim poziomie pod względem wartości homiletycznej, pojawiają się bardzo rzadko. Są one wyrazem najbardziej aktualnych potrzeb chwili, omawiają bowiem takie zagadnienia, jak: małżeństwo i rodzina, bezbożnictwo, komunizm, socjalizm, walkę ze współczesną niemoralnością, potrzebę pogłębienia uświadomienia religijnego wśród katolików świeckich.

Te aktualne, nowoczesne problemy przedstawił Autor w nowoczesnej formie, wyrażonej tem, że nie trzyma się jakiegoś utartego szablonu. O tej formie decydują: treść, psychiczne postulaty wpływu na słuchaczów, oraz zasady logiki, których zachowanie daje kazaniom jedność oraz jasny i harmonijny rozkład. Jeśli znaczna część ogłaszanych ostatnio drukiem kazań, w poszukiwaniu nowej formy, grzeszy często przeciwko tej jedności i jasności rozkładu, to w omawianych kazaniach ks. Sobalkowskiego znajdą kaznodzieje taki podręcznik, z którego po jednem przeczytaniu mogą kazanie powtórzyć.

Autor dobiera tak umiejętnie szczegóły z historji Męki Pańskiej, że wymienione nowoczesne zastosowania wynikają z tych dobranych szczegółów dziejów Męki P. J. — zupełnie naturalnie.

Zasługuje wreszcie na chlubne uznanie piękna literacka forma kazań, przez którą te kazania wchodzą w dziedzinę literatury. Spokojny, prosty, a jednak wytworny styl, obrazowość, żywość opowiadania nadają tym kazaniom cechę wysokiej artystycznej homiletycznej wartości. *Ks. dr Juljan Piskorz.*

Ks. Jakób Grönings T. J., **Sladami Męki Pana,** wydawnictwo Apost. Modlitwy, Kraków 1939, str. 368, cena 4,50 zł.

Tytuł »Śladami męki Pana« każe się nam domyślać, że treść książki będzie się obracała około męki Chrystusa Pana. I tak jest w rzeczywistości. Trudniej natomiast bliżej określić formę, w jaką autor ujął temat swej pracy. Nie są to bowiem kazania o męce Pańskiej, nie są to rozważania w ścisłem pojęciu, nie jest to egze-

geza męki, może nieco forma konferencyj o męce Pańskiej, a raczej objaśnienia męki Chrystusowej. Jakkolwiek autor nie dzieli swej pracy na części i rozdziały, to jednak czytając ją, zauważamy trzy etapy w rozważaniu męki Zbawiciela. Autor, idąc ściśle za opowiadaniem Ewangelistów, podkreśla trzy fazy tego smutnego dramatu. Jedna — to wypadki od konania w Ogrójcu, poprzez pojmanie, fałszywe sądy, niesprawiedliwy wyrok i ukrzyżowanie; druga — Zbawiciel na krzyżu i jego siedem słów; trzecia — zdarzenia od skonania Zbawiciela do chwili postawienia straży u grobu. Jeśli chodzi o bogactwo materjału i myśli, to bezwątpienia najwięcej trudu włożył autor w część pierwszą swej pracy. Widać tu, jak autor gruntownie opiera swe rozważania na prawdach dogmatycznych. Cierpienia duchowe Chrystusa w Ogrójcu analizuje w sposób głęboki (str. 26—34). Rozważając proces Chrystusa, świetnie autor oświetla momenty psychologiczne, ujawniające z jednej strony pychę i słabość Piłata, a zaciekłość i przewrotność starszyzny żydowskiej — z drugiej (str. 200—224). Zastanawiając się nad epizodami, które się wydarzyły w czasie dźwigania krzyża na Kalwarję (Szymon Cyrenejczyk, współczucie niewiast jerozolimskich), czyni autor cenną uwagę, by męki Chrystusa nie rozważać w sposób zbyt naturalny, a tem samem bezowocny. Nie należy zapominać, że cierpiący Chrystus to nie tylko człowiek, ale i Bóg zarazem. Mniej przeto może ludzkiego współczucia, a więcej żalu za nasze własne grzechy (str. 242). Z rozważań na temat siedmiu słów P. Jezusa na krzyżu najbardziej udane jest rozważanie o drugiem słowie Zbawiciela; jest to głęboka konferencja o nawróceniu, w której autor posługuje się silnemi antytezami, mającemi na celu podkreślenie w sposób dramatyczny mocy, jaka płynie z męki Chrystusowej i z łaski Bożej (str. 264—273).

Tak więc choć książka O. Gröningsa ściśle biorąc nie jest pracą kaznodziejską, daje jednak dużo wybornego materjału kaznodziejskiego do kazań pasyjnych. Więcej daje go do konferencyj, a może najwięcej do rozmyślań. Chociaż nie jest we właściwem znaczeniu podręcznikiem do rozmyślań, to jednak, dostarczając obfitego materjału do rozważań, prowadzi do głębszego zrozumienia męki Chrystusa Pana.

O. Grönings niewątpliwie zadał sobie wiele trudu, by w jasnych słowach oddać wszystko, co o podniosłym przedmiocie męki Pańskiej mówi wiedza katolicka. Czytając jego pracę, widzimy, że ze szczególnem upodobaniem opierał się na wielkich teologach katolickiej starożytności, gdzie wyszukiwał i zbierał myśli do swego dzieła. Praca niniejsza o. Gröningsa doczekała się wielu wydań w języku niemieckim, oraz licznych tłumaczeń na inne języki. Dobrze się stało, że ukazała się i w polskim przekładzie, wzbogacając przez to naszą literaturę pasyjną. *Ks. St. W.*

Ks. Hardy Schilgen T. J., **W szkole św. Ignacego,** Warszawa 1939, wydawn. Ks. Ks. Jezuitów, str. 565, 14 x 19.

Książka ta stanowi już 42 tom, pracowicie gromadzonej »Bibljoteki Życia Wewnętrznego«. Jest to anonimowy przekład z oryginału

niemieckiego (In der Schule Loyolas 1938). »Bieg myśli tych ćwiczeń duchownych« jest tak jasno rozprowadzony, że z łatwością może być wykorzystany nawet przez początkujących na drodze życia doskonalszego. Taka zresztą była intencja zarówno autora jak i tłumacza, aby w ten sposób spopularyzować »Cwiczenia duchowne« św. Ignacego, zwłaszcza w obecnym okresie wzmożonego ruchu rekolekcyjnego.

Św. Ignacy nakreślił sobie ściśle ograniczony cel — mianowicie: stosunek człowieka do Boga, do świata i do siebie samego, a przez całe Cwiczenia« przeprowadził niby nić złotą myśl: człowiek winien chwalić Boga i ofiarnie dla Niego wszystkie czyny spełniać. Wielu jednak źle rozumie ducha »Cwiczeń«, stąd książka »W szkole św. Ignacego« ma za zadanie wykazać, jaki jest właściwy rozwój i bieg myśli tego wielkiego mistrza duchowego, oraz podać materjał do rozważań, jednak bez podziału na punkty i bez szczególnego uwzględnienia jakiegoś stanu. Książka ta ma służyć wszystkim. W pierwszym rzędzie jednak oddać może duże usługi początkującym rekolekcjonistom i kierownikom dusz przez wskazanie należytego biegu myśli i znaczenia rozmyślań, a jako lektura zgłębi wykład konferencyj, zachowa lub odnowi ducha pobożności, narzuci myśl o wielkich prawdach tym, którzy nie odprawiają ćwiczeń rekolekcyjnych. Charakterystyczna jest metoda ujęcia tych prawd. Autorowi nie chodziło o skreślenie jakiegoś wyczerpującego komentarza dla »Cwiczeń«, jednak służą mu one jako materjał, który logicznie układa w ten sposób, że ta sama prawda powtarza się parokrotnie w kilku obok siebie przedłożonych rozmyślaniach, co sprawia, że zagadnienia organicznie wiążą się i zazębiają ze sobą i wzajemnie się wyjaśniają. Taka metoda rozmyślania daje niewątpliwie duże zyski dla dusz, gdyż utrwala prawdę, którą trudno utrzymać wobec oporu władz i warunków życia: nadto zagłębia światopogląd, rozjaśnia umysł i kształci wolę.

Autor nie miał zamiaru podać naukowej rozprawy, lecz streścił pewną serję osobistych przeżyć duchowych na tle »Cwiczeń« św. Ignacego, stąd nie spotyka się w tej książce cytat z innych autorów (chociaż napewno z nich korzystał, np. z Zimmermanna »Bez granic i końca« z Alb Stöckl'a »Ofiara), a nawet w używaniu tekstu Pisma św. kontentuje się przeważnie parafrazą. Treść całego materjału autor dzieli na 84 rozważania, ugrupowane w 4 częściach. Pierwsza część zawiera t. zw. »fundament« rozmyślań, gdzie jest rozważany Stwórca, stworzenie, grzech, sąd, śmierć, piekło i miłosierdzie. W części drugiej przedmiotem rozmyślań jest Jezus Chrystus od Betleem aż do sceny namaszczenia na uczcie w Betanji. Część trzecia uwzględnia mękę P. J. z dodatkiem rozmyślania: Współodkupicielka. Część czwarta przedstawia tryumf Chrystusa z dodatkiem: o Kościele i o doskonałem umiłowaniu Boga.

Przeważnie każde rozmyślanie rozmiarem materjału i przeprowadzeniem myśli jest przystosowane do 15 minutowych, a nawet pół godzinnych rozważań, zakończonych krótkiemi, praktycznemi postanowieniami.

Styl prosty, łatwy, jasny. Układ zdań logiczny, przejrzysty. Autor posługuje się często obrazowością porównań, gdy chce przedstawić przymioty Boże, stąd temat nie wymaga zbytecznego wysiłku myślowego, owszem pociąga barwnością obrazów, narzuca umysłowi podziw dla Stwórcy wszechrzeczy, a dla woli umiłowanie Jego dobroci. Dowody rozumowe są mniej uwzględniane. Te, które są, możnaby ułożyć w następujący sylogizm, zresztą w duchu św. Ignacego: Celem człowieka na ziemi jest ofiarne oddanie się Bogu na własność, gdyż tego wymaga Jego chwała. Wszystko, co jest na ziemi, winno być traktowane jako środki dla chwały Bożej. Stąd człowiek winien tak zarządzać temi środkami, aby cel osiągnąć. Czynnik uczuciowy nie był przez autora stosowany, jednak logicznie rozplanowana treść sprawia w duszy skutki spokojnego deszczu, który ożywia choć wolno, ale w sposób niezawodny. Autor sam przeżywał podane myśli w praktykach rekolekcyjnych, stąd w miarę potrzeb duszy, niektóre tematy są zbyt szeroko opisane, co dla początkujących stanowi pewną trudność w opanowaniu w jednem rozmyślaniu podanego materjału. Inną usterką jest powtarzanie tych samych obrazów, np. z życia P. J. w różnych rozważaniach, co utrudnia skupienie uwagi, skoro ta sama myśl przestaje interesować.

Niemniej jednak książka »W szkole św. Ignacego« jest poważnym przyczynkiem w literaturze religijnej, a ludziom świeckim, zwłaszcza mało zaprawionym do ćwiczeń duchownych, może stać się doskonałą szkołą na drodze udoskonalenia.

Kielce. *Ks. W. Piwowarczyk*

F. X. Gerstner, **Die Predigt der Gegenwart,** Weisungen und Vorbilder für Prediger, Bader'sche Verlagsbuchhandlung, Rottenburg a. N. 8-o str. 170.

»Z kaznodzieją to tak jak ze skałą: gdy ją Bóg poruszy, płyną z niej strumienie wody żywej, — jak z Synajem, gdy Bóg się na nim pojawi i mówi, lśni wszystko w ogniu Bożych piorunów i błyskawic.

Nasze niedzielne kazanie — przykrością? twardą robotą? — Ależ nie! to radość, zaszczyt być »heroldem, posłańcem wielkiego Króla« — jak to mawiał św. Franciszek z Assyżu.

Czem chce być kazanie dla słuchaczy w dzień niedzielny? — Siłą na sześć dni roboczych, duchowym pokarmem i odświeżeniem, wzmocnieniem. Toteż trza ludziom naprawdę coś dać, nie zamiast »chleba — kamień, zamiast ryby — skorpiona«. Nowalis powiedział: »Kaznodzieja winien wzbudzić entuzjazm religijny: nie tylko pouczać,.. winien do wnętrza duszy dotrzeć, porwać za sobą«. — »Izali nie pałało serce nasze w nas, gdy mówił w drodze, i Pisma nam otwierał? (Łuk. 24, 32). Coś z tego działania słów Jezusowych na uczniów z Emmaus musi znamionować i nasze kazania...« (Donders, Predigt u. Prediger — Heute, »Christusbotschaft« — Butzon u Bercker, Kevelaer).

Otóż to! Porwać za sobą, olśnić! Przekonać!

Wymagania słuchaczy rosną, a kaznodzieja, nawet najlepszy, z trudem zdoła wybić się ponad przeciętność.

Skąd czerpać nowe myśli, nowe sposoby podejścia do zagadnień odwiecznie tych samych, ochwytanych i tą powszedniością nastręczających właśnie trudność prawdziwego zainteresowania. Wielki tylko duch potrafi wykrzesać z pod popiołów iskrę i w pożar ją rozdmuchać! Tylko Augustyn, Bernard miodopłynny, Bossuet, Massillon.

A czy współczesności brak takich granitowych postaci, co niby słupy ogniste przewodzą ludzkości? Są, i do nich w naukę pójść trzeba, by się nauczyć przemawiać skutecznie, porywać za sobą!

Są różne typy, jak różne są środowiska duszpasterskiej działalności, jak różne są typy kaznodziei.

Wdzięcznego, acz niełatwego zadania podjął się Autor, zgromadziwszy galerję typów kaznodziejskich doby obecnej w omawianej książce. Wierny swemu celowi, obok wskazań natury teoretycznej posługuje się przykładami ludzi i słów. Gdy więc charakteryzuje rozmaite sposoby przemawiania, zależnie od potrzeby środowiska, wskazuje też na odpowiedni przykład i popiera wyjątkami z kazań.

Przypatrzeć się tym tytanom słowa, a mimo ich wielkości, zda się niedoścignionej, znajdzie kaznodzieja wśród nich i swój typ, a znalazłszy swój ideał, zapragnie go z pewnością naśladować w miarę możności i najlepszej woli i nie bez skutku chyba, bo zawszeć coś pozostanie. Jeszcze nie było ucznia tak »tępego«, któryby choć trochę nie nauczył się od mistrza, a przecież nasi kaznodzieje i brakiem uzdolnienia nie grzeszą, ani dobrej chęci im nie brak, — chodzi jedynie o wzór, o upewnienie się czasem we własnej inwencji i o potwierdzenie własnych słusznych domysłów, o to, by też być pod czyimś wpływem, bo dobrze jest czasem usiąść i posłuchać wykładu, gdy się lata całe samemu wykładało.

A więc —

— jest *„głos wołającego na puszczy“* — kardynał F a u l h a b e r, apologeta i nieustraszony bojownik;
— jest *kaznodzieja radości i smutku* — Paweł Wilhelm K e p p l e r,
— konsekwentny, *logik,* — Józef G m e l c h,
— jest Emil K a i m, *kaznodzieja popularny,*
— Paweł S t i e g e l e — o »jednem, co jest konieczne« każący,
— jest *wielkomiejski* Robert L i n h a r d t,
— *znawca dusz ludzkich* — Piotr L i p p e r t,
— jest wreszcie Tihamér T ó t h — *kaznodzieja i* zarazem *wychowawca młodzieży,*
— a za nimi cała plejada pomniejszych mistrzów, też niepoślednich, jeżeli się zważy nazwiska W o l p e r t a, L a n g a, Karola S o n n e n s c h e i n a, S e r t i l l a n g e s i innych.

»Potuerunt hi — quare non tu?«

»Tolle, lege!« — Weź i rozczytuj się w ich dziełach, podpatruj ich sposób podejścia do sprawy, ucz się, jak od mistrza uczy się uczeń, jak pod komendą oficera uprawia musztrę żołnierz. I oni bez wątpienia nie urodzili się takimi, jakimi ich znamy, i oni wychowali się w cieniu mistrzów słowa, których studjowali, których

naśladowali, a których wpływ i w ich dziełach jest widoczny, dość zszeregować cytaty, któremi się posługują, by stwierdzić, że chodzili do szkoły św. Pawła, Augustyna, że nie obcy im byli wielcy Francuzi.

Naśladować ich styl, ich sposób wysłowienia się — to nie wszystko, wszak co innego jest, co im daje prawo wodzów słowa: głęboka wiedza, znajomość środowiska, pogłębienie psychologiczne.

Kaznodzieja dzisiejszy — i o tem mówi Gerstner obszernie w ostatnich rozdziałach: Neue Wege, Der Prediger ein homo universalis, Wahres Heldentum und Führertum, Situation der Gegenwart — powinien wiedzieć, że stoi na gruncie, który krok za krokiem wywalczać musi, wywalczać ciągle na nowo dla Boga, i to nie tylko na polu teologji czy filozofji, ale w praktycznem życiu. Niema dziedziny, któraby mogła być kaznodziei obca, wszędzie musi się zaznaczyć jego wybitna znajomość przedmiotu.

Przy całej jednak uczoności i znajomości rzeczy nie odniesie skutku, gdy nie będzie głęboko przekonany o słuszności sprawy i nie będzie gotów oddać życie za prawdy, które głosi. Bohaterem więc musi być i wodzem, wyczuwającym tętno życia, znającym jego potrzeby najbardziej żywotne: po jednej ręce otwarta ewangelja, a po drugiej dziennik: oto kaznodzieja współczesny.

Pelplin, Pomorze. *Ks. J. Cyrankowski.*

Retraite Théologale et Évangélique de **Communion Solennelle** et de Persévérance Chrétienne par l'abbé J. Raimond, Téqui, Paris 1939, str. 202, cena 12 fr.

Pierwszą uroczystą Komunję św. tak we Francji i w innych krajach poprzedzają zwykle trzydniowe rekolekcje. Zbyteczne jest rozwodzić się nad wielkiem znaczeniem dla dzieci tych rekolekcyj. Ale też zmusza rekolekcjonistę do odpowiedniego przygotowania się do nich. Taką pomoc daje właśnie autor niniejszej pracy.

Na każdy dzień przygotowane są po trzy konferencje. Pierwszy dzień ma ożywić wiarę. Dlatego mówi się o rzeczywistej obecności P. Jezusa w Najśw. S., tajemnice radosne różańca, Najświętszy S. pokarmem naszym. Drugiego — Komunja św. lekarstwem duszy, tajemnice chwalebne różańca, Najśw. S. zadatkiem zbawienia. Trzeciego — obudzenie miłości, 4 przemówienia w dzień przyjęcia Komunji św., 2 przemówienia przed przyjęciem bierzmowania.

Tematy tych przemówień nie są nowe. Są jednak przemyślane, dostarczają dużo materjału, tak, że mogą wystarczyć na kilka seryj. Przypuszczam, że i sam autor nie myślał, by przemówienia te miały być wygłoszone tak, jak są podane, są bowiem nieco za długie i niedostatecznie ożywione. Prawda, że psychika dzieci francuskich jest inną, że siedząc wygodnie w ławkach, mogą dłużej zachować skupienie, jednak dla zainteresowania ich potrzeba więcej ożywienia.

Choć u nas niema praktyki urządzania podobnych rekolekcyj, oddać może ten zbiór przemówień usługi do rekolekcyj wielkopostnych i do przemówień na dzień I Komunji św. *Ks. dr. J. Łapot.*

Katechizm ułożony z polecenia JEXBpa O k o n i e w s k i e g o, str. 142, wyd. Księgarnia »Pielgrzyma«, Pelplin, 1938.

Wyraz »katechizm« nie budzi zainteresowania ani miłych refleksyj u przeciętnego naszego katolika. Inaczej reaguje katolik Zachodu. Wiele złożyło się przyczyn na taki nasz stosunek do katechizmu systematycznego i do całkowitego wykładu nauki katolickiej. Ale też nie indziej, a w tym naszym stosunku do katechizmu trzeba szukać przyczyny mglistych, powierzchownych pojęć i zasad katolickich, jakie ze zdziwieniem słyszymy z ust nawet ludzi inteligentnych.

Wiemy, jakiej ścisłości myślenia wymaga się, nim przyjdzie do studjów teologji. Wiemy, że od precyzji i określeń naszych pojęć w terminologji zależy dobre zrozumienie jakiejś prawdy filozoficznej i poznanie prawdy teologicznej. Czemże są w dyskusji dystynkcje, jak nie wymogiem ścisłości? Tę ścisłość myślenia ma mieć tak teolog, jak i świecki katolik, oczywiście we właściwej dla niego proporcji. Ta ścisłość dopiero pozwoli mu odróżnić prawdę od sofizmatów, których takie mnóstwo posiał protestantyzm, kierunki filozoficzne historji nowożytnej i propaganda neopogańskiego materjalizmu doby naszej.

Właśnie katechizm, dający ścisłe określenia prawd katolickich, dający je jako całość, w różnym oczywiście zakresie, w sposób systematyczny, zdaje się być jednym ze środków zaradczych. Te zapewne motywy sprawiły, że w ostatnich miesiącach ukazały się na łamach różnych czasopism głosy, które albo zwracały uwagę na jakieś poszczególne kwestje katechizmowe, albo zagadnienie katechizmu w nauczaniu religijnem chciały poddać rewizji. Oczywiście, że nie chodziłoby o powrót do pamięciowego nauczania prawd wiary, lecz do zwrócenia większej niż dotychczas uwagi na określenia katechizmowe, aby dać materjał do rozważań i pogłębień religijnych.

W nauczaniu katechizmu postulaty psychologji jak i praktyka są zgodne, że musi być przynajmniej dwa, jeżeli nie trzy, stopnie do tego nauczania, a co za tem idzie — dwa albo trzy katechizmy. Niższy — oparty na małym katechiźmie, przygotowujący dzieci do przyjęcia Sakramentów św., stopień wyższy, oparty na katechiźmie większym, któryby dał dziecku kończącemu szkołę powszechną, całość nauki katolickiej; a wreszcie stopień najwyższy, dający do ręki każdego dorosłego katolika katechizm pogłębiony, uwzględniający zainteresowania i rozwiązujący przynajmniej najbardziej powszechne trudności, z jakiemi styka się katolik dorosły, na którego czyha bezbożnicza propaganda.

Wydany przez księgarnię »Pielgrzyma« katechizm, choć nie wskazuje na to ani przedmowa ani podtytuł, jest przeznaczony dla młodzieży szkolnej. Wskazuje na to jego książkowy, szkolny format, druk, jak i metoda stawianych pytań, a wreszcie ostatnia część, zawierająca modlitwy. W porównaniu z dotychczasowemi katechizmami z tego poziomu zasługuje na szczególną uwagę. Jest to naprawdę praca o r y g i n a l n a. Widać to choćby z t y t u ł ó w każdej z trzech części. A mianowicie: Chrześcijanin poznaje Boga przez wiarę; Chrześcijanin łączy się z Bogiem przez łaskę; Chrześcijanin przez dobre

uczynki coraz gorliwiej służy Bogu i królestwu Jego na ziemi. Takie ujęcie tematowe działów nauki katolickiej tchnie świeżością, budzi zainteresowanie, a nadewszystko przywraca katolicyzmowi jego wewnętrzny dynamizm, płynący z samej nauki objawionej. Oryginalność widać następnie w metodzie stawianych pytań, które tracą tutaj »suchość«, jakby wrodzoną, a stają się zagadnieniami religijnemi. Każde bowiem pytanie poprzedzają albo teksty z Pisma św. albo parozdaniowe wprowadzenie. Dzięki tej metodzie pytanie samo się nasuwa, a odpowiedź nie jest łamigłówką ani formułką, którą trzeba wbijać do głowy gwałtem. W ten sposób uwzględniony został tutaj postulat budzenia zainteresowania. Trafnie dobrane teksty liturgiczne ukazują prawdę katolicką w życiu. Pozytywne stawianie obowiązków chrześcijanina, działanie łaski jako pierwiastka życia nadprzyrodzonego — ukazują nam katolicyzm jako coś dynamicznie żywego, praktycznego i żywotnego. Określenia są ścisłe, teologiczne, jasne, krótkie, dość łatwo sformułowane; pamiętać nam trzeba, że jest to podręcznik dla młodzieży zaawansowanej wprawdzie w nauce religji, znającej przynajmniej ogólnie Pismo św. i liturgję, a wobec tego i charakter katechizmu, którego zadaniem ma być ująć w systematyczny wykład naukę poznaną, nie może być wyczerpującym i najobszerniejszym.

W unowocześnieniu katechizmu widzimy w omawianem wydaniu jeszcze jeden krok. Chodzi o obrazowość. Trudno oczywiście domagać się, by katechizm, zwłaszcza większy, mógł w całości zadośćuczynić postulatowi obrazowości. Można i należałoby, jak to uczynił jeden z katechizmów austrjackich, dać w tekscie dużo obrazów, zwłaszcza że tak wiele mamy arcydzieł sztuki chrześcijańskiej i o reprodukcje nie jest trudno. Miałoby to ogromne znaczenie z punktu widzenia estetyki, jako czynnika wychowawczego. Dwie ilustracje, umieszczone w wydanym katechiźmie, bardzo są celowe i dla obrazowego przedstawienia: ofiary mszy św. i roku kościelnego niemal konieczne. Prócz ilustracyj, które można było umieścić w tekscie, trzeba większą uwagę zwrócić na omówienie łaski posiłkowej. Należało również podać, jak wywołać żal doskonały i t. d.

Katechizm niniejszy ma służyć uczącej się młodzieży. Może jednak z powodzeniem być zastosowany dla młodzieży pozaszkolnej. Odda on usługi i kaznodziei, przygotowującemu kazania katechizmowe, a może być użyty w celach orjentacyjnych dla tych, którzy będą przygotowywali katechizm dla dorosłych. *Ks. J. Ł.*

Ks. Wojciech Bangha T. J. **Swiat i Zaświaty**, stron 279, Wydawnictwo Księży Jezuitów, 1939, Warszawa XII, ul. Rakowiecka 61, cena egz. brosz. 3 zł., opr. 4 zł.

Autor jest znanym działaczem katolickim nie tylko w swej ojczyźnie t. j. na Węgrzech, ale i daleko poza jej granicami. Wielkomiejski duszpasterz, publicysta, kierownik ruchu sodalicyjnego miał sposobność poznać duszę współczesnego człowieka, zwłaszcza inteligencji, na wylot: jej braki, potrzeby, szamotania, zwątpienia i tęsknoty. Autor umie do tej duszy przemawiać. Ogarnęły go dwa ro-

dzaje miłości: miłość Boga, Jego świętej sprawy i miłość duszy ludzkiej, tego arcydzieła twórczej potęgi Bożej. Z tych źródeł pochodzą te niezrównane w treści, przebogate w formie rozważania na temat: »Królestwo wieczne w starciu z czasem«, jak głosi podtytuł. Przewijają się przez karty tej książki problemy zasadnicze, zagadnienia stare, a wiecznie nanowo targające ludzkim umysłem, niepokojące serce: Bóg — wieczność — cuda — objawienie — zmartwychwstanie — Chrystus — łaska (str. 41). Zagadnienia te są nie tylko postawione, ale i rozwiązane tak, jak je dziś rozwiązywać trzeba: gruntownie, zwarcie, ale i mocno, życiowo, tak, że czytelnik czuje, że tu o jego »skórę chodzi«. Książkę księdza Banghi nie wystarczy przeczytać, by nabrać wprawy w takiem czy podobnem przynajmniej przedstawieniu kwestyj religijno-moralnych na ambonie, na zabraniach, ale ją trzeba przetrawić, przemyśleć, dać się ogarnąć świętemu ogniowi, który bucha z pod pióra, bo trawi i serce autora. Więcej takich dzieł!! *Ks. S. S.*

Ks. N. L. Cieszyński, **Roczniki Katolickie** na r. 1939 t. XVI, nakł. autora, Poznań przy kościółku P. Jezusa, str. 384.

Roczniki Katolickie można w recenzji rozmaicie potraktować: jako pracę literacką, jako materjał pomocniczy w pracy dydaktycznej i kaznodziejskiej, i t. d. Ten ostatni kąt patrzenia nas w tej chwili interesuje.

Otóż wychodząc z założenia, że kaznodzieja musi aktualizować prawdy Boże, musi prawdy wieczne ukazać wiecznemi i dziś, tak jak one dziś odgrywają rolę w życiu poszczególnych ludzi i narodów, musi chwytać na gorąco zjawiska, dochodzące do naszych oczu i uszu, by je przedstawić słuchaczom. Niezliczoną ilość materjału dostarczają pod tym względem Roczniki. Kazania o akcji katolickiej, o żywotności nauki katolickiej, o odrodzeniu katolicyzmu, o niebezpieczeństwach dla życia katolickiego, o misjach i t. p. Nie chodzi tu jednak o same tematy lubo garść faktów. Każde z tych zagadnień jest opracowane, przemyślane; fakty mają swoje przyczyny i skutki, są naświetlone. Dla przykładu weźmy Meksyk. Ustawy kulturkampfu religijnego utrzymane są w mocy, a jesteśmy świadkami śmiałej akcji katolickiej, otwierania kościołów pod wpływem postawy katolików, jest i kongres. Wszystko w sumie daje nam obraz życia współczesnego, w którem życie katolickie nawet w bardzo nieprzychylnych warunkach rozwijać się może. Życie bowiem katolickie to owoc współpracy ludzkiej z łaską Bożą. Najtrudniejsze warunki życia nie zwalniają nas od obowiązku gorliwej służby Bożej. Co się składa na to, że mimo katolickiego nastawienia większości obywateli, mogą istnieć w danem społeczeństwie odśrodkowe siły, burzące ład i pokój, jaki daje nauka katolicka, i t. d. Można w ten sposób każde z zagadnień współczesnych w całości lub w części mieć rozwinięte w temacie kazania, na które czekają wierni. *Ks. J. Ł.*

BIBLJOGRAFJA.

PISMO ŚW.

Abbé Lusseau et abbé Colomb, Manuel d'Etudes Bibliques, tome premier, Introduction générale, Paris, Téqui 1936, str. 579.

Kardynał Bisleti w liście do zasłużonych autorów z dnia 12 stycznia 1935 r., jako ówczesny prezes Pap. Komisji Biblijnej w krótkich, treściwych i jędrnych słowach scharakteryzował to całe wydawnictwo. Podręcznik ten podaje naukę pewną, omówienie kwestyj obszerne i wykład jasny. To są właściwie najważniejsze cechy dobrego podręcznika, przeznaczonego dla użytku szkolnego. Tomem tym zakończone zostało wydawnictwo „Manuel'a". Tom pierwszy ma zwykłe części introdukcji ogólnej. Najpierw mówi o natchnieniu, później podaje historję kanonu i wreszcie hermeneutykę. Pierwsza część jest bardzo obszernie potraktowana, zawiera nadto obszerną bibljografję. Ciekawy jest rozdział zatytułowany „Inspiration et secrétaires", w którym rozróżnia: secréteures-copistes et et secréteures-rédacteures (str. 132—136). Obszernie, wszechstronnie i ciekawie potraktowana jest również Inerrance biblique. W historji kanonu uderza przejrzystość, z jaką autorowie rozmieścili poszczególne świadectwa Ojców lub kościołów.

Krótką informacją o kierunkach czyli o szkołach konserwatywnej i postępowej oraz wskazówkami praktycznemi w egzegezie katolickiej kończy się ostatnia część podręcznika. Jakkolwiek więc „Manuel" ma przedewszystkiem przeznaczenie dla zakładów naukowych, to jednak zarówno traktat o natchnieniu, jak i hermeneutyka mogą niejednokrotnie przydać się i na ambonę i dla własnej korzyści wszystkich tych, którym powierzony został obowiązek wyjaśnienia i tłumaczenia ksiąg Pisma św.

Ks. J. Pawłowski

FILOZOFJA.

Alphons Gratry, Von Gottes Worten und der Sprache der Menschen— herausgegeben von Karlheinz Schmidthüs, Freiburg im Br. Herder, 71 str. 1,20 RM.

Ks. Gratry (1805—72), oratorjanin, francuski filozof i teolog, wydał w r. 1857 dwutomowe dzieło p. t. De la connaissance de l'âme, które w rok po wydaniu zostało przełożone na język niemiecki. Że dotąd nie straciło na wartości, świadczy fakt, że jeszcze w r. 1926 pojawiło się we Francji w dziewiątem wydaniu, obecnie zaś księgarnia Herdera z jego tomu pierwszego wydaje w serji „Zeugen des Wortes" trzy pierwsze rozdziały, nadając im tytuł, wskazany w nagłówku. Rzecz ta ze swej treści należałaby do filozofji mowy ludzkiej. Mówi ona naprzód o duszy ludzkiej jako słowie Bożem, następnie o tem, że nasz język jest mową duszy (stosunek myśli i słowa), a wreszcie o dwóch odmianach słownictwa: żywego (poezja, wymowa) i refleksyjnego (nauka). W tym ostatnim rozdziale wi-

doczne wpływy niemieckiego filozofa językowego, Wilhelma Humboldta. Autor w mowie płynnej, jasnej z dużym polotem i odczuciem szuka źródeł bytu, istnienia duszy, źródeł mowy, tworząc rzecz o dużych walorach myślowych i literackich.

APOLOGETYKA.

L. Kosters, S. J., **L'église de notre foi,** przekład z języka niemieckiego (Die Kirche unseres Glaubens) przez Ph. Mazoyer et A. Gaté, Paris, 1938, str. XI + 295 12 × 19.

Książka ta jest wartościowa i pożyteczna, czego dowodem jej szóste wydanie w ciągu trzech lat (od 1935 do 1938). Sam autor twierdzi, że na życzenie licznych czytelników książce nadał charakter wydania popularnego, chociaż nie zostały pominięte w niej, w pewnym przynajmniej stopniu, cechy ujęcia naukowego (liczne cytaty z Pisma św. i dzieł innych autorów!). W treści spotykamy takie zagadnienia jak: „wiara w Kościele", „pewność wiary" — analityczne ujęcie wiary na tle życia Kościoła, syntetyczne ujęcie wiary na podłożu konstrukcji hierarchicznej, ustrojowej i celowej Kościoła, Kościół w ujęciu dogmatycznem i t. d. Na końcowych stronach książki L'église de notre foi jest podana obszerna literatura tego zagadnienia, oraz dwie chronologje: pierwsza od Narodz. P. J. do śmierci św. Jana Apostoła, oraz druga, obejmująca epokę OO. Kościoła (od 90 do 450 r.). Książka ta odda niewątpliwe usługi zarówno kaznodziejom, wykładowcom nauki rel. w szkołach, jak i ogółowi inteligencji katolickiej. *Ks. W. P.*

TEOLOGJA MORALNA.

Aertnys-Damen C. SS. R., **Theologia Moralis**, tom. I (de principiis, de praeceptis virtutum theologicarum, de praeceptis decalogi, de praeceptis statuum vitae), str. 808, Taurini, Marietti, 1939.

Podręcznik teologji moralnej Aertnys-Damen ma za sobą już długi okres próby. Obecnie ukazuje się właśnie 13-te jego wydanie, 5-te po reformie kodeksu prawa kanonicznego. W nowem wydaniu dzieło zaleca się przez swą z jednej strony zwięzłość, krótkość, z drugiej dokładność, przejrzystość i gruntowne potraktowanie zagadnień. Współautor Damen dostosowuje podręcznik do coraz nowszych wymagań, jakie stawia przed forum teologji moralnej życie; świeże decyzje Stolicy Apostolskiej w różnych kwestjach sumieniowych są również wciągnięte w system motywacji tez i zasad. Studentom teologji przy powtarzaniu przerobionego materjału, a i każdemu księdzu dla przypomnienia sobie wiedzy, której „habitualiter" przy spełnianiu swych duszpasterskich powinności potrzebuje, podręcznik omawiany odda pierwszorzędne usługi tem bardziej, iż dzieło opracowane przez synów św. Alfonsa Liguorego na podstawie nieprzedawnionych nigdy a zawsze bezpiecznych zasad i wskazań doctoris zelantissimi, którego 100-lecie kanonizacji mija właśnie 26 maja b. r.

Franciscus Ter Haar, C. SS. R., **Casus conscientiae**, vol. I. De praecipuis huius aetatis peccandi occasionibus. Vol. II. De praecipuis huius aetatis vitiis eorumque remediis. Wydanie drugie przejrzane, Taurini, Marietti, 1939.

Praca w konfesjonale nie jest dziś łatwa. Wymaga dużego przygotowania teoretycznego, naukowego, nie możemy przeto my księża książki odkładać do szafy bibljotecznej, teologja moralna musi być ustawicznie pod ręką. Mało, potrzebne jest i przygotowanie, a właściwie ustawiczne szkolenie się praktyczne. Ale nie możemy zaufać jedynie „zdrowemu", jak się zwykło mówić, rozsądkowi, zbyt często spowiednik może ulec złudzeniu, mieszając własne dość wygodne sposoby rozwiązania trudności życiowych z jedynie miarodajnemi zasadami etyki naturalnej i objawionej z nauką Kościoła w tym względzie. Przeto uważam za nieodzowne przestudjowanie tych dwóch zbiorków „casusów", opracowanych znakomicie. Nie przesadzę, jeśli powiem, iż jest to wnikliwe, na życiu wypróbowane repetitorium najtrudniejszych partyj z teologji moralnej, np. okazje dalsze i bliższe grzechu w ogólności i szczegółowe przepracowanie takich okazyj, jak: szkoły mieszane, lektura, zabawy, teatr, kino, radjo, odwiedziny konkurentów i narzeczonych. W drugim tomiku porusza autor zagadnienia nawskroś dzisiejsze, z któremi w konfesjonale niemal za każdym razem się spotkamy: nałogowcy, recydywiści, trudności w wierze i cała gama grzechów „contra sextum", nadużycia małżeńskie, nowa metoda regulacji urodzin. Te sprawy znać i to gruntownie jest świętym obowiązkiem spowiednika, by ratować dusze i skutecznie leczyć z zastarzałych chorób. *Ks. S. Sobalkowski*

J. E. Georg. **Z tajników pożycia małżeńskiego,** przekład z niemieckiego, Księgarnia Krakowska, Kraków, 1939, str. 219.

Książka niniejsza jest próbą zaznajomienia szerokich kół ludności w sposób popularny z nowemi odkryciami wiedzy w dziedzinie niepłodnych dni kobiety; ma ona wykazać, jak należy wiadomości te włączyć w życie. Książka stoi mocno przy zasadzie zdrowej, normalnej rodziny (4—5 dzieci), ale zarazem chce pouczyć, jak na podstawie nowych odkryć (Ogino-Knaus) można stworzyć szczęśliwsze i doskonalsze pożycie małżeńskie, ułatwić wypełnienie zadania małżeńskiego, nie narażając małżonków na rozbrat sumienia z prawem Boskiem.

LITURGJA.

Ks. dr. Gerard Szmyd, **Mszał szkolny na niedziele i święta,** nakładem tow. „Bibljoteka Religijna", Lwów 1939, str. 574, cena 4,50 zł.

Mszał drukowany na cienkim brewjarzowym papierze, formatu kieszonkowego, opracowany dla młodzieży szkół średnich, powinien znaleźć się w ręku każdego ucznia czy uczennicy, jako niezbędna pomoc przy nauce liturgji. Mszał zawiera pełny tekst łaciński i polski oraz zwięzłe uwagi o częściach roku kościelnego i o każdej niedzieli i święcie. Poza użytkiem szkolnym mszalik ten jest najlepszą książeczką do nabożeństwa. Na końcu mszalika zamieszczone są wszystkie litanje, hymny, oraz przygotowania do sakramentu pokuty i Komunji św.

ASCETYKA.

Ks. Juljan Smodlibowski T. J., **Ku chwale Trójcy Przenajświętszej.** Warszawa 1939, wyd. ks. Jezuitów, 90 str., 50 gr.

Mała, podręczna książeczka — ma na celu przyczynić się do bliższego poznania Trójcy Św. i do rozbudzenia żywszego ku Niej nabożeń-

stwa. W tym celu podaje w dwu rozdziałach objaśnienia owej tajemnicy, a potem jeszcze dziewięć rozważań z hymnem i modlitwami.

Henri Morice, **La mère de Jésus** (podtytuł: „Trente-et-une Lectures pouvant servir pour le Mois de Marie et le Mois du Saint Rosaire) Paryż 1939, Téqui, str. VI + 244, 12 x 19.

Rozważania te są podane na tle życia Pana Jezusa, z dodatkiem, czem jest Marja dla narodu francuskiego. Styl łatwy. Forma żywa. Może być cenną pomocą dla duszpasterzy do kazań marjologicznych.

Ks. Władysław Wojtoń T. J., **Najświętszej Matce w hołdzie,** Kraków 1938 (nakład autora) 17 x 12, str, 61.

Jest to zbiór 47 wierszy ku czci N. M. P. Wiersze łatwe w układzie. Mogą służyć jako pieśni kościelne oraz jako deklamacje na święta sodalicyjne i akademje marjologiczne.

J. Debout, **Grzechy zaniedbania,** Warszawa 1939, wyd. ks. ks. jezuitów, str. 68, 80 gr.

Jest to przekład z francuskiego. Temat bardzo aktualny. W życiu przeciętnego katolika, bo do takiego zwraca się autor, wiele jest spraw, nad któremi nie reflektuje, choć je może bardzo drobiazgowo spełnia i w życiu obserwuje. Trochę więcej refleksji, więcej myśli — ote wołanie z kart tej książki. Modlimy się, wierzymy, zapalamy i obojętni jesteśmy, ale tylko dlatego, że wysiłek pracy umysłowej, pogłębiającej naszą świadomość religijnego życia nas odstrasza czy też przeraża. To jest pięta Achillesowa naszej religijności. Oby można było dać tę książkę do rąk przeciętnego katolika!

Marjan Pilarski, **Niedziela dzień Boży,** Kraków 1939, str. 39; cena 15 gr. Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.

Drobna, popularna broszurka, która usiłuje przekonać i nakłonić słuchacza do święcenia niedzieli. Zasługuje na rozpowszechnienie wśród ludu. Kaznodziei podda niejedną myśl i przykład do mówienia na ten zawsze aktualny temat.

Alfons Erb, **Gelebtes Christentum.** Charakterbilder aus dem deutschen Katholizismus des 19. Jahrhunderts (Chrystjanizm w życiu. Sylwetki znaczniejszych postaci niemieckiego katolicyzmu z w. XIX), str. 286 Verlagsbuchhandlung Freiburg im Breisgau.

Mamy tu osiem życiorysów wybitnych katolików niemieckich, żyjących na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku, którzy tak z racji na swą duchową wewnętrzną wartość, jak i na stanowiska, jakie zajmowali, wywarli wielki wpływ na współczesność. Oto oni: Jan Michał Sailer, syn ubogiego, ale uczciwego szewca, nad którego grobem bawarski król Ludwik I wypowiedział te znaczące słowa: Tu leży największy biskup Niemiec — podjął za czasów swych rządów diecezją regensburską walkę z „oświeceniem" czyli zeświecczeniem życia. Wzór po dni nasze świątobliwego, przykładem własnym porywającego, wychowawcy młodzieży, zwłaszcza duchownej. Melchjor von Diepenbrock, jeden z najdzielniejszych mówców swego czasu, wytrawny kierownik dusz na biskupim stolcu we Wrocławiu. Księżna Amelja von Gallitzin, Bernard Over-

berg, Michał Wittmann, następca b-pa Sailera na stolicy w Regensburgu, człowiek wielkiej pokory, dobroci i pobożności głębokiej. Jan Adam Möhler, na którego nagrobku w Monachjum czytamy te słowa: „obrońca wiary, chluba nauki, pociecha Kościoła”. Fryderyk Leopold hr. Stolberg. przyjaciel Goethe'go, wreszcie znany poeta Klemens Brentano, który po pełnej burz i wstrząsów młodości nie tylko znalazł spokój u stóp Krzyża, ale był godnym stać się piewcą misterjum krzyża, on to bowiem przez pięć lat patrzał na życie i cierpienia stygmatyczki Anny Katarzyny Emmerich, czuł się powołany do spisania jej widzeń, w jego redakcji zostały one światu przechowane. Z pośród tych ośmiu osób wiele było węzłami przyjaźni złączonych, duchem Bożym owianych mężów, którzy wspólnym wysiłkiem swej głębokiej wiary i trudu dla wiary walczyli zwycięsko o prymat Boga i ducha w ówczesnym zobojętniałym dla tych spraw świecie.

AKCJA KATOLICKA.

PIUS XI — wielkiemu Papieżowi w hołdzie, Poznań, Naczelny Inst. Akcji Kat., str. 80, cena 1,50 zł (do nabycia u wydawcy: NIAK. Poznań, PKO 213-737).

Pamiątkowy album, wydany dla uczczenia pamięci wielkiego Papieża katolickiej akcji. Jest to wydawnictwo luksusowe, ilustrowane, zestawiające poważne głosy biskupów, profesorów, literatów i dziennikarzy, jakie się pojawiły po zgonie powszechnie czczonego i miłowanego Ojca chrześcijaństwa. Stanowi ono piękny upominek dla rodzin, może się też przydać do akademij papieskich, gdyż z tych głosów można zestawić pogląd na brzemienny w wielkiej wagi wydarzenia pontyfikat.

K. J., **Praca,** jej znaczenie i godność, Poznań 1939, nakł. Ostoja, str. 157.

Dość oryginalne ujęcie tego tak wszechstronnie omawianego tematu. To, co ekonomiści i politycy uważają jako rzecz nierozwiązalną przy najbardziej wymyślnych systemach i koncepcjach, można okazuje się ująć prosto, zrozumiale, a z pożytkiem dla życia praktycznego. Trzeba tylko traktować pracę nie *in abstracto,* lecz w zastosowaniu do człowieka. Pytania, jakie stawia autor czytelnikowi po rozpatrzeniu założeń, sprawiają, że zagadnienie pracy tak w swej moralnej, jak efektywnej stronie jest jedno. Człowiek pracujący jest w mocy usunąć konflikty, na jakie patrzymy dziś, on może też zmienić nienormalny stosunek wzajemny pracy i człowieka. Rzecz godna polecenia dla wszystkich uniwersytetów robotniczych.

Ks. Wł. Lesiak, **Błogosławieni,** Poznań 1939, nakł. „Ostoja”, str. 61.

Oto nowa serja kwadransów ewangelicznych znanego na tej niwie autora. Jak poprzednie będą napewno i te należycie ocenione w pracy w organizacjach A. K. Tematem tych rozważań będą błogosławieństwa dane na górze. Są one w porównaniu do poprzedniej serji lepsze tak ze względu na formę jak i większą koncentrację myśli i przejrzystość tematu.

Ks. Wład. Lesiak, **Skarb ukryty,** Poznań 1939, nakładem „Ostoi”, str. 46, 12 x 17.

Jest to zbiór 13 pogadanek ewangelicznych. Metodyczny wykład ma za cel przygotowanie członka A. K. do pracy apostolskiej w myśl

wskazań ewangelji. Książeczka ta odda wielkie usługi tym zwłaszcza, którzy prowadzą pracę wychowawczo religijną w oddziałach katol. stowarzyszeń tak męskich jak i żeńskich.

Ks. Władysław Lesiak, **Boży szczep** (podtytuł: Rozmyślania dla druhen K. S. M. Ż.). Poznań 1939, nakł. S. A. „Ostoja", 11 x 17, str. 44 (Odbitka z 12 № „Młodej Polki" z 1938 r.).

W 12 rozmyślaniach znany autor — wychowawca młodego pokolenia w żywych obrazach porównań daje do przemyślenia potrzeby duszy młodego dziewczęcia. Książeczka wartościowa winna być w każdej bibljotece, zwłaszcza do użytku członkiń K. S. M. Ż.

Idę w górę, wskazówki do pracy nad sobą — zebrał *St. S.*, Poznań 1939, nakł. „Ostoja", str. 61.

Podręcznik czy monografja z tego tak trudnego w praktyce, zwłaszcza młodego adepta, zagadnienia zwykle daje bardzo dalekie wskazówki praktyczne. Mała to broszurka, ale naprawdę dać może bardzo wiele pod tym względem. Naprzód dlatego, iż przybliża w sposób bardzo prosty i zwyczajny wielką rzecz pracy nad sobą. To co ks. Tóth podaje dla młodzieży, będącej na pewnym i to wyższym stopniu rozwoju umysłowego, niniejsza mała książeczka podaje każdemu innemu młodzieńcowi. Rzecz bardzo godna polecenia do masowego kolportowania wśród młodzieży tak szkół średnich jak i KSM.

Stanisław Sedlaczek, **Zastępy w K. Z. M. Ż.**, tegoż autora **Zastępy w K. Z. M. M.**, Poznań 1938, nakł. S. A. „Ostoja". 22 x 17. Każda książka liczy po 160 stron.

System zastępowy był znany w organizacjach młodzieżowych od r. 1919. Autor chce, aby obie te książki obok regulaminu zastępów (wydanego w r. 1938) stały się źródłem metod organizacyjnych w K. S. M. Ż. i w K. S. M. M. Książki te są nieodzowne dla wszystkich, którzy pracują we wspomnianych organizacjach katolickich.

WYCHOWANIE.

S. Barbara Żulińska, **Matka-obywatelka**, Pogadanki o wychowaniu dzieci, nakład tow. „Bibljoteka Religijna", Lwów 1938, str. 157, cena 2,50.

Wychowawcze wskazówki są potrzebne dla wszystkich, którzy z jakiegokolwiek tytułu pracują nad dziatwą. Potrzebne są tedy i dla rodziców. Takie właśnie wskazówki dla matek przynosi niniejsze dziełko z pogadankami s. Barbary Żulińskiej ze zgromadzenia S. S. Zmartwychwstania Pańskiego. Autorka jesi wychowawczynią już od lat 35, toteż jej wskazówki będą posiadały wiele doświadczenia. Pogadanki poruszają najważniejsze zagadnienia wychowawcze: jak dziecko prowadzić do Boga, jak rozwijać w niem poczucie obowiązku, jak zwalczać lenistwo, jak zaprawiać do karności, jak budzić w dziecku uczucia radości i pokoju, jak kształcić cnoty społeczne i t. p. Osobny ustęp poświęca autorka wyrabianiu w dziecku poczucia piękna i prawdy, miłości Ojczyzny i ducha apostolstwa. Ze wskazówek zawartych w książce powyższej wiele może skorzystać każdy wychowawca.